A photograph of a woman in a dark blue winter coat and a striped beanie pulling a small child on a wooden sled across an ice rink. The child is wearing a blue winter jacket and a grey hat. The background shows a snowy park with bare trees and a modern building. A stroller is visible in the distance on the left.

Tożsamość tutejsza
Mikołaj też człowiek!
„Paczka serca dla Polski”

Do siego
roku 2022!

*Drodzy Czytelnicy Sceny Polskiej,
Życze Wam świętego spokoju
i zapraszam do słuchania :)*

Kasia Klich



Nielukrowana

K
l
i
c
h

Najnowszy singiel
w serwisach streamingowych
i na YouTube



ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Redaktor Naczelna

Na całym świecie obchodzi się Święta Bożego Narodzenia i świętuje Nowy Rok. Polacy rozsiani po różnych zakątkach świata próbują pielęgnować tradycje wyniesione z rodzinnych domów. Czasami trudno urządzić je „po polsku” na przykład ze względu na brak karpia, który należy do ryb słodkowodnych i którego po prostu na większą skalę się nie hoduje. Coraz częściej zamiast karpia na stołach wigilijnych można zobaczyć łososa, pstrąga czy też inne ryby. Nie zmienia się natomiast zwyczaj obdarowywania prezentami pod choinką.

Naszym upominkiem jest najnowszy numer Sceny Polskiej. Na początku Andrzej Skibniewski w bardzo osobistym zwierzeniu zastanawia się nad swoją tożsamością. Poczytajmy, to dotyczy wielu z nas. Jak my sobie z tym radzimy? Jak zwykle w doskonałym stylu Jacek Kałucki pisze o swoich przygodach z Mikołajem, a Konrad Zarębski

interesująco i z dużą wiedzą o najnowszym filmie Wojtka Smarzewskiego. Prezentujemy bardzo aktualny tekst Kamila Rudzińskiego na temat głośnego przedstawienia „Dziady” Adama Mickiewicza. Dalej sporo miejsca poświęcamy wydarzeniom sprzed 40 lat. Początek stanu wojennego w Polsce. Większość z Polaków mieszkających w Holandii właśnie przez stan wojenny znalazła się tutaj. Lata osiemdziesiąte to największa fala emigracji do Holandii. Wtedy też płynęła do Polski największa pomoc humanitarna. Trzeba o tym pamiętać. I o tym jest wystawa w Hadze, która trwa do 15 stycznia. W dalszej części tego numeru jeszcze wiele interesujących tematów do lektury których gorąco namawiam.

Życząc wszystkim Zdrowych i Miłych Świąt dzielę się z Państwem archiwalnym zdjęciem z 1988 roku, na którym jest scenka z kościoła w Delft przedstawiająca tradycyjne „Kołysanie dzieciątka” czyli „Kindje wiegen”. Podczas uroczystej mszy i koncertu chłopięcego chóru De Buddy’s w roli dzieciątka Jezus wystąpiła moja córka. Sąsiedzi, których syn śpiewał w tym zespole poprosili nas o pomoc bo było to nagranie dla telewizji i bardzo zależało im na żywym dzieciątku zamiast lalki. Miało być krótko i kilka spokojnych kolęd. Było głośno i kolędy w stylu muzyki pop. Więc dzieciątko popłakalo, jak to dzieciątko, a ksiądz, ku naszej uciechu, poinformował wiernych, że mały Jezusik „w tym roku przyjechał z Polski”!

Pogodnych Świąt Bożego Narodzenia i Do Siego Roku!

Spis treści

ANDRZEJ SKIBNIEWSKI Tożsamość tutejsza	str. 4
JACEK KAŁUCKI Najciekawsze są kulisy Mikołaj też człowiek!	str. 6
JERZY SKOCZYŁAS Grudniowy motyl.	str. 7
KONRAD J. ZARĘBSKI Kompleks polski	str. 8
ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ Dyplomy uznania za wybitne zasługi dla promocji polskiego filmu w świecie	str. 9
KAMIL RUDZIŃSKI Konrad (nie) był kobietą	str. 10
CEZARY ŁAZAREWICZ Koledzy Wałęsy, o których zapomniano.	str. 11
FOTOREPORTAŻ „Paczka serca dla Polski” – wystawa plenerowa przy Ambasadzie RP w Hadze, Alexanderstraat 13 (8.12.21 – 15.01.22)	str. 12
FOKKO SCHROTEN Grudzień 1981 – kierunek Polska, dwie wizy	str. 14
EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI Lektura (nad)obowiązkowa – Zielony Punkt z widokiem na Manhattan. . .	str. 16
MONIKA JAWOREK Jak wzmocnić intencję komunikacyjną? Zabawa z kilkuletnim dzieckiem . . .	str. 17
TED MATKOWSKI Moje spotkanie z Polą Negri.	str. 18
MAREK GRĄDZKI Z ognia smakuje lepiej.	str. 19
HERMAN PIETER DE BOER (TŁUM. JULIUSZ BURGIN) Damska orkiestra	str. 20
GRAŻYNA GRAMZA Marki świąteczne	str. 22



SCENA POLSKA | Nr 4(108)/2021 | ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schroten-Czerniejewicz i zespół.
WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com
Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.
www.poolspodium.org

ZDJĘCIA: Archiwum SPP
SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mамет | Mac Map
OKŁADKA: Zima w Utrechcie, fot. SPP
DRUK: Drukarnia Swarzędzka Stanisław i Marcin Witecki sp.j.



Tożsamość tutejsza



ANDRZEJ SKIBNIEWSKI

To już szóste Święta Bożego Narodzenia od mojego powrotu na stałe do Polski. Po ponad trzydziestu trzech latach spędzonych w Holandii wróciłem na „stare śmieci”. Była to decyzja przemyślana – do powrotu przygotowywałem się przez kilka lat.

Czasami zastanawiam się, na czym polega teraz moja „tożsamość”. Może to typowe dla starszych panów, że myśląc o przeszłości zastanawiam się kim tak naprawdę jestem? Polakiem? Holendrem? Holendrem w Polsce? A może zupełnie kimś innym? Będąc w Polsce często słyszę pytanie – czy nie żałuję mojego powrotu? Powodów do rozczarowania może być wiele – tradycyjnie słychać narzekania na służbę zdrowia, nieudolność i kryjącą ją

arogancję rządzących, chamstwo, głupotę i zacofanie współobywateli, pazerność polityków itp., itd.

Dlaczego wyjechałem wtedy? Legalnie, do pracy. Ale pozostałem w Holandii na stałe dlatego, że nie miałem zaufania do Państwa i władzy, zwanej wtedy „ludową”. Był stan wojenny. Nie wyobrażałem sobie przyszłości, gdyż każdy rok był trudniejszy od poprzedniego, a trudności, błędy i wypaczenia były zawsze „obiektywne”. Dziwaczny system ekonomiczny, upokarzające kolejki, szarość dnia codziennego oraz brak wiary w lepsze jutro były tego powodem. Wtedy byłem też głęboko przekonany, że większość społeczeństwa w Polsce nie zasługuje na nic lepszego – urzędnicy (a prawie wszyscy pracujący w upaństwowionych organizacjach nimi byli) czuli się bezpiecznie w swoich imperiach, które wydawały się nie do obalenia. System był bardzo trwały.

Na obczyźnie często wstydiłem się swojego wschodnioeuropejskiego pochodzenia. Nie miałem jednak wyjścia – musiałem funkcjonować. Byłem Polakiem – tego nie można było już zmienić. Ale oprócz białoczerwonej flagi, hymnu, języka, domu rodzinnego i grupy przyjaciół z czasów szkolnych z Polską nic mnie nie łączyło.

Sz szczególnie z rządzącymi.

Odmienne od moich kolegów, którzy w dawnych czasach „uciekli do rajchu” nawet nie starałem się „wtopić” w otaczające mnie społeczeństwo. Nie chciałem tego – ale było to i tak niemożliwe. Miałem obco brzmiące, trudne (czasami także dla Polaków) nazwisko, na pewno obcy akcent i sylwetkę daleko odbiegającą od wysokich, barczystych Holendrów.

Z biegiem lat zyskałem w Holandii grono przyjaciół, bliższych i dalszych znajomych, sąsiadów, koleżanki i kolegów z pracy. Dzieci w szkole szybko zostały zaakceptowane, z niektórymi rodzicami mam bliski kontakt do dzisiaj. Czuję się spełniony. Zupełnie się zadomowiłem – do Polski jeździłem kilka razy w roku, ale bardzo rzadko spędzałem tam wakacje. Zwiedzałem wielki świat, którego bardzo byłem ciekaw. Egzotyczny, wielokulturowy i otwarty, który mnie przygarnął i zaakceptował takiego, jakim byłem. Dla jednego Polakiem, dla innych Holendrem.

Co to znaczy być Holendrem? Znać obce języki? Historię? Mieszkać w Holandii na stałe? Zadziwiająco dla mnie było przywiązanie rdzennych Holendrów do ich odrębności i tożsamości narodowej. Nie do hymnu, stolicy czy języka. Wszystko to było flauwekul². Niektórzy z moich ho-



lenderskich kolegów nawet nie znali słów hymnu, inni nigdy nie byli w Amsterdamie (mając około trzydziestki!), a w sporządzanych przez nich notatkach i listach – podobnie jak w wielu gazetach – roiło się od błędów ortograficznych.

Jednak czasem zdarzały się okazje, gdy oni wszyscy byli naprawdę razem. Było to kilka razy w roku: cała Holandia stawiała się pomarańczowa podczas urodzin królowej, gdy pustoszały ulice w dniu Sintelclaa, lub gdy reprezentacja Holandii uczestniczyła w ważnych wydarzeniach sportowych. Wtedy byli naprawdę jedną rodziną. Jednoczył ich pomarańczowy kolor – który z hymnem, czerwono-biało-niebieską flagą i poprawnym Nederlands miał tak naprawdę bardzo niewiele wspólnego.

Zadziwiające są także nasze, polskie cechy tożsamości narodowej. Podczas świąt państwowych wywieszamy biało-czerwone flagi, powtarzamy chętnie mit o tysiącletniej historii naszego Państwa, upamiętniamy ofiary walk z naszymi wrogami, czcimy pamięć poległych w walce z okupantem dzieci. Czasem śpiewamy wszystkie cztery oficjalne zwrotki hymnu narodowego. Jesteśmy przekonani, że od zarania dziejów byliśmy częścią Europy (N.B.: Ale niech Bóg broni, żeby ktoś z niej wtrącał się do naszych wewnętrznych spraw). Moje pokolenie – dzieci zabużańskich kresowian – błędy ortograficzne uznawało za plamę na honorze i słuszny powód do oblania egzaminu dojrzałości.

W dzisiejszych czasach jednak nasze narodowe flagi niesione są przez licznie reprezentowane, zwalczające się ugrupowania. Gdyby nie kordon rozdzielających je policjantów, siłą udowodniliby sobie chętnie kto zasługuje na miano gorętszego patrioty.

Myszę, że tak naprawdę Polaków w kraju i za granicą łączy coś innego: Wigilia Bożego Narodzenia, koszycki ze święconką oraz znicze w dniu Święta Zmarłych.

Od urodzenia, przez całe dzieciństwo wychowywali mnie ludzie pochodzący z dwóch oddalonych od siebie światów. Rodzice i ich najbliższe otoczenie to kresy Rzeczypospolitej – przede wszystkim Lwów, a także Stanisławów i jego okolice. Tam, we Lwowie wszystko było wspaniałe: jego wielkowiejskość, przyroda, patriotyzm, harcerstwo i porządek. Z rozrzewnieniem wspominali bezpowrotnie minione czasy, w których „za nieboszczki Austrii” rozwijała się kraina, zwana przez kilka pokoleń Galicją. Związani byli z nią tradycją patriarchalnego wychowania, Wigiliami z kutią i karpim po żydowsku, Wielkanocą rozbrzmiewającą wybuchami kalichloru oraz uroczyste obchodzone imieninami. Gdy byłem dzieckiem słuchałem śpiewnego lwowskiego „bałaku”

i tak jak rodzice byłem przekonany, że „we Lwowie” wszyscy kiedyś zamieszkamy.

W międzyczasie, ku przerażeniu moich rodziców i pani w szkole, biegle opanowałem język śląski.

Przez pierwsze czternaście lat mojego życia wychowywała mnie Ślązaczka – pochodząca z podopolskiej wsi Hela. Utożsamiałem się też często ze Ślązakami. Lwów był daleko, w ZSRR i w związku z tym uważałem Kresy za – jak to mówił nasz prezydent³ – jakąś „działką na księżycu”. W szkole uczyłem się, że nasz prastary, od wieków polski Śląsk, wrócił do swojej macierzy.

Teraz wiem, że Ślązacy nie ruszając się z domów czasami mieszkali w Czechach, kiedy indziej w Niemczech, kiedy indziej w Polsce. We wspaniałej książce „Kajś”⁴, należącej do młodego pokolenia Zbigniew Rokita pisze:

„W czasach, gdy Francuzi, Holendrzy czy Hiszpanie mają już swoje państwa, niemieckie ziemie od setek lat trwają w rozdrobieniu. Przez stulecia państwo było dla Ślązaka ledwie zauważalne, im dalej zaś w XIX wiek tym bardziej wdziera się w jego życie wraz ze wszystkimi tymi urzędnikami, majstrami i oficerami...”

Państwo wdzierało się też wszędzie z urzędowym językiem, podatkami, a później interpretacją historii, definicją patriotyzmu oraz polskich, narodowych cech. W rzeczywistości w urzędach i w szkołach języka używało się zgodnie z wymaganiami aktualnej władzy państwowej a gwarą mówiło się w śląskich domach. Państwo było gdzieś z boku, ale czasem uwierało dotkliwie.

Pomimo patriotycznego wychowania sceptycyzm do polskiego rządu, państwowości i rządzących miałem nieustanny – ugruntował się jeszcze bardziej po tym, jak mieszkający w Genewie wujcio stwierdził kategorycznie:

– Andrzejku, Polacy nie potrafią się rządzić. Przed wojną niby była wolność, ale też był burdel...

Kim zatem jestem? Przypomina mi się spotkanie z delegatem z powiatu pokazane w niezapomnianej „Konopielce”⁵.

Podczas zebrania Delegat z Powiatu próbuje zmobilizować obecnych na sali do posłania dzieci do szkoły i włączenia się w wielką sprawę powojennej odbudowy kraju.

– W chwili, kiedy cały kraj zrywa się do wielkiej budowy, żaden obywatel nie może stać na boku. Ojczyzna wzywa!

– A co nam do tego?

Pykając fajkę pyta jeden z uczestników zebrania.

– Jak to, a wy kto? Nie Polak?

– Nie...

– To kto? Niemiec?

– Nie...

– A może Francuz?

– Nie Francuz...

– To kto wy?

– Ja – tutejszy...

– Jaki tutejszy?

– A tutejszy. Z bagna...

– A bagno, gdzie? Nie w Polsce?

– Bagno – tutaj... I my tutejsze...

Zatem zawsze byłem „tutejszy”. Byłem Lwowiakiem dla rodziców i najbliższej rodziny, Ślązakiem dla guwernantki i przyjaciół z Górnego Śląska. Byłem i jestem Polakiem dla Holendrów i przyszywanym Holendrem dla Polaków.

Powrotu do domu, do Polski ani przez chwilę nie żałowałem. Tutaj się przecież urodziłem i wychowałem. Tu jestem „tutejszy”.

Jak zawsze tak i w tym roku będzie na moim stole wigilijnym dwanaście potraw. A jakże. Złożą się na nie jak zwykle między innymi barszcz i pierogi, lwowski karp po żydowsku, a na deser będzie śląska moczka⁶, wiedeński sernik i holenderskie poffertjes...

Wszystkim Wielbicielem, Sympatykom i przygodnym Czytelnikom Sceny Polskiej w Holandii życzę ZDROWIA, którego w minionych latach nam trochę brakowało i rychłego powrotu do dawnej normalności. Aby nasze tutejsze ojczyzny były przyjazne i łączyły ciepło i dobroć. Wirusy, wszelkie ich zmutowane odmiany, jeżeli już nie mogą zniknąć całkowicie, niech nam dadzą przez kolejne lata spokojnie żyć i normalnie funkcjonować.

Czekamy niecierpliwie na polskich artystów, aby w niedalekiej przyszłości wystąpili na Scenie Polskiej w Holandii. Zdrowych i pogodnych Świąt! Prettige Kerstdagen!

BOŻE NARODZENIE/KERST 2021

PRZYPISY

- Według Wielkiego słownika języka polskiego jest to „świadomość wspólnych cech i poczucie jedności z innymi w danej grupie społecznej”. Ciekawe, że hasła „tożsamość narodowa” w nim nie ma – „narodowe” mogą być natomiast m. in. dochód, rada, żałoba, produkt i park.
- Flauwekul (niderlandzki) – bzdura, głupie gadanie.
- Był to prawdopodobnie Lech Wałęsa, który tą wypowiedzią zaskarbił sobie wielką niechęć powstających na początku lat dziewięćdziesiątych środowisk kresowych.
- Zbigniew Rokita. „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku”. Wydawnictwo „Czarne, Wołowiec 2020. ISBN 978-83-8191-077-4
- Reż. Witold Leszczyński. „Konopielka”. Studio Filmowe „Perspektywa” 1982.
- Zwana też „bryją”. Gotowana na wywarze z rybników, słodkakupa, wktórej jest piernik, ciemne piwo i mnóstwo bakalii.

NAJCIEKAWSZE SĄ KULISY

Mikołaj też człowiek!


JACEK KAŁUCKI

Miałem już coś przygotowanego na grudniowy numer „Sceny...”, a tu Szefowa prosi, żeby było świątecznie, pogodnie a przede wszystkim... optymistycznie. Proszę bardzo! Opowiem w takim razie o kulisach pracy ze świętym Mikołajem – no już bardziej świątecznie chyba być nie może?! A że „święty” kojarzy się wyłącznie z optymizmem, to chyba oczywiste!

W połowie lat dziewięćdziesiątych, w okresie przed wigilijnym, jedna z sieci handlowych w ramach swojej promocji zaprosiła do Polski prawdziwego Świętego Mikołaja... tak, tak, tego z Finlandii, z Rovaniemi. A mnie z racji współpracy z redakcją dziecięcą TVP, gdzie co tydzień kreowałem Docenta Doświadczalskiego w programie „Wyprawy profesora Ciekawskiego” zaproponowali, abym pełnił rolę... „Śnieżynki”! Tego nie mogłem zaakcepto-

wać, ale za zgodą „mojego szefa” nazwałem się „Najwyższym Jego Krasnałem”. Paradowałem oczywiście w swoim sławetnym czerwonym fraku z muchą w grochy i okazjonalnie w „mikołajowej czapie”. Dzieciaki szalały z zachwytu! Nie dość że mogły na żywo zobaczyć prawdziwego „świętego”, to jeszcze ich idol Doświadczalski prezentował się w pełnej krasie.

Jak się później dowiedziałem wioska Mikołaja była i jest do dzisiaj wielką, prężną instytucją. Założona w 1985 roku pracuje na pełnych obrotach przez cały rok! Wycieczki oblegają ją codziennie. Są tam pomieszczenia w których mieszka Mikołaj, sortownie prezentów z krasnalami, zagroda z reniferami i wiele, wiele różnych atrakcji. Powstała tam również poczta „Świętego Mikołaja” i głównie z Europy, przychodzi około miliona listów rocznie na adres: Świętego Mikołaja, Gwiazdora, Dziadka Mroza (to głównie z sąsiadującej Rosji), Santa Clausa nieco mniej, bo on głównie działa na terenach obu Ameryk a jego sponsorem jest pewien bardzo popularny napój gazowany. Za moich czasów (nie wiem jak jest teraz) było czterech Mikołajów. Każdy z nich, aby zostać „tym prawdziwym” przechodził drobiazgową selekcję. Musiał znać co najmniej trzy języki, być empatyczny, lubić dzieci i mieć swojego rodzaju refleks, gdyż małe szkraby często zadają pytania bardzo kłopotliwe i trzeba mieć zawsze gotową odpowiedź.

No i najważniejsze: Mikołaj gdziekolwiek się pojawił, musiał przez cały czas być... Mikołajem. Nikt poza najbliższymi współpracownikami nie mógł widzieć jak „święty” staje się „świeckim” pozbawiając się brody, pukli włosów, brzucha oraz swoich charakterystycznych szat.

Kiedy rano pojechaliśmy na warszawskie lotnisko Okęcie po gościa z Laponii, on wysiadł z samolotu, udał się do saloniku Vipowskiego, przeistoczył się w „świętego” i taki oto pojawił się w holu głównym. Witany przez oficjeli, media, gapiów no i oczywiście tłum dzieciaków. Później wsiedliśmy do specjalnie podstawionego busa i ruszyliśmy na spotkania. Przebrał się dopiero wieczorem, kiedy zniknął w swoim pokoju hotelowym. Muszę powiedzieć, że ja przez kilka dni nie wiedziałem jak mój „szef” wygląda w „cywilu”. Dopiero w Katowicach, kiedy organizatorzy dowiedzieli się, że mam urodziny i wieczorem zorganizowali uroczystą kolację na moją cześć, pojawił się facet, który jak się później okazało był... Mikołajem. Najśmieszniejsze było to, że człowiek ten uwierzył, że jest nim na co dzień. Miał około 60 lat, był siwy i miał długie włosy i taką brodę, nosił charakterystyczne druciane okulary i był... MIKOŁAJEM! Z wykształcenia historyk. Opowiedział mi dokładnie całą historię Mikołaja z Miry – świętego katolickiego i prawosławnego. Żył na przełomie III i IV wieku, był biskupem i wślawił się pomocą biednym i potrzebującym. On postanowił kultywować jego dzieło – pełen szacun!

Jeździliśmy po dużych i małych polskich miastach, głównie tam gdzie owa sieć sklepów miała swoje markety. Na rogatkach danej miejscowości, przesiadaliśmy się z busa do czerwonego kabrioletu i w asyście policji wjeżdżaliśmy do miasta. Witaliśmy nas tłum! W oknach, były wywieszane podobizny Mikołajów – to było coś NIEBYWAŁEGO! Kiedyś jechaliśmy do Krakowa. W pewnym momencie kierownictwo naszej grupy zorientowało się, że nie dojedziemy na czas, gdyż były straszne korki. Podjechaliśmy pod jakiś zajazd. Po 15 minutach przyjechał radiowóz z dwoma policjantami na motorach i asekurowali nas pod sam Kopiec Kościuszki, gdzie miało siedzibę radio RMF FM, gdyż mieliśmy wejście na żywo o konkretnej godzinie. Później oczywiście w asyście policji przejazd na Rynek Główny i tam było właściwe spotkanie – przemowy, występy jakiś ze-



społów a później oczywiście PREZENTY (dla wybranych).

W następnym roku było podobnie. Finowie tak byli zadowoleni z moich usług, że za... wszelką cenę postanowili znów zatrudnić „Wielkiego Krasnala”. Tym razem było o tyle fajne, że przyjechał gość bardziej życiowy. Przed pierwszym wyjazdem do Gniezna spotkaliśmy się w jego pokoju hotelowym. Był to młody facet, szalenie rozrywkowy, uwielbiający (jak większość Finów) polską wódeczkę a nade wszystko... polskie kobiety. W niczym nie przypominał Świętego Mikołaja a na pewno nie miał nic wspólnego ze swoim skądinąd sympatycznym poprzednikiem. Jednak pewne zasady musiały być zachowane. Jak była przerwa obiadowa miał zarezerwowaną wraz ze swoimi współpracownikami oddzielną salę w restauracji. W tak gigantycznej brodzie i wąsach nie sposób było jeść. Ale mieliśmy wspólną garderobę. Wtedy dopiero zobaczyłem jaka pracochłonna i trudna jest jego charakterystyka. Sama broda była tak zmyślnie zakładana, że nawet kiedy dziecko chciało sprawdzić czy „święty” jest prawdziwy i pociągnęło za nią, ta była na swoim miejscu nie tknięta. Podziwiałem go jeszcze za nieprawdopodobnie „silną głowę”. W trakcie naszego występu popijał ulubiony, promilowy płyn przez słomkę – żeby za każdym razem nie zdejmować brody. Ale NIGDY nie zawałił. Był sprawny, chodził prosto i nie bełkotał – zawodowiec! Mówił po fińsku, a ja miałem wcześniej przygotowane tłumaczenie. Kiedy rozdawał prezenty, z trudem nauczyłem go kilku zwrotów po polsku, żeby miał lepszy kontakt z dzieckiem. Między innymi: „Czy byłeś(łaś) grzeczny(a)”? Pewnego razu podszedł wyczytany przeze mnie 5 letni chłopczyk (nie ten na zdjęciu, bo to mój syn) i Mikołaj pyta:

– Szy być dżeczny?

Cłopiec patrzy lekko wystraszony i nic nie odpowiada. Mikołaj powtarza:

– Szy być dżeczny?

Cisza. Wtedy ja zapytałem, jak mały ma na imię?

– Maciek.

– Super Maciuś! To odpowiedz teraz Mikołajowi; czy byłeś grzeczny?

Na to chłopiec spojrzął głęboko Mikołajowi w oczu i powiedział krótko:

– Pięś.

Po czym sam wziął prezent i pewnym krokiem wrócił na miejsce.

Ponieważ Wy z pewnością byliście „dżeczni”, życzę Wam wszystkiego co najzdrowsze i najpiękniejsze! Optymizmu i spełnienia marzeń oraz... bądźcie tolerancyjni, bo jak widać Mikołaj też człowiek. Do zobaczenia!!!

Grudniowy motyl



JERZY SKOCZYLAS

Kolejne Święta, piękny czas.
Dni nie do przecenienia
i najcieplejszy z ciepłych dar
Bożego Narodzenia.

Choinki migotliwy blask,
kolęd kojące dźwięki
i miłość, która płynie wprost
do serca od stajenki,

Świąteczny stół, obrusu biel,
nakrycie jedno więcej
i kruchość łamiącego się
opłatka w bliskiej ręce.

I drżący ze wzruszenia głos,
tembr rozmów dobrze znany.
A ile to minęło lat
od kiedy nie ma mamy?

A pamiętacie babcie i
wujaszka i kuzynkę,
tę co nosiła śmieszne tak
buciki i mantylkę.

A tata? Boże, tyłu ich
w wieczności mrok odeszło ...
Znowu przy stole więcej miejsc,
kolejne wolne krzesło.

Ku oknu się kieruje wzrok
Gwiazdki wypatrujący
i świece wigilijnej blask
... i motyl fruujący.

Motyl!? Skąd motyl tu się wziął?
Zimą? Grudniową nocą?
A Motyl na choince siadł
i skrzydła mu się złocą.
I wszyscy zapatrzili się
w motyla kształt czarowny,
a motyl w świetle mieni się
stubarwny i cudowny.

Ktoś dostrzegł w nim Anioła znak,
że wszystko się odwróci,
że będzie lepiej mimo lat,
że jeszcze zdrowie wróci.

Dziewczynka, uśmiechając się
krzyknęła aż z radości,
bo była pewna, że to znak
rodzącej się miłości.

Innemu motyl kroplę wlał
otuchy w głębię duszy
i nową siłę w serce tchnął
i obaw mur rozkruszył.

A w jeszcze innym stopił lód,
oziębłość ukrywana
i czułą strunę trącił w nim
od lat nieużywaną.

Po krótkiej chwili motyl znikł,
umknął w krainę cieni,
a wszyscy rozjaśnili się
cudownie odmienieni.

Poculi, że znów razem są,
czas sporów w dal odpłynął,
poculi ciepło swoich rąk.
Znów stali się rodziną.

Czy motyl tu naprawdę był?
To sprawa bez znaczenia.
Ważne, że znów zaistniał cud
Bożego Narodzenia.



Kompleks polski



KONRAD J. ZARĘBSKI

Kino Wojciecha (Wojtka – tak podpisuje swoje filmy) jakiej jest, każdy może zobaczyć: wartkie, dynamiczne, bezkompromisowe, często sarkastyczne, nierzadko gwałtowne, miejscami szokujące. A przede wszystkim – trafiające w sedno bolesnych problemów. Polskich problemów.

Smarzowski zwrócił na siebie uwagę w 2004 roku, realizując film „Wesele”. Historia bardzo polska: panna młoda w ciąży, ojciec aranżuje ślub (za który ceną będzie luksusowy samochód), sprasza całą wieś na wesele, prowadząc jednocześnie ciemne interesy. Podczas wesela, w miarę wypitego alkoholu, kończy się gra pozorów, wybucha skandal za skandalem, o świecie nic nie będzie takie samo, zamiast fety pozostaje krach. Zwyczajne dzieje – filmowe, niekoniecznie mające odniesienia do rzeczywistości. Poza tym, wiadomo: jeśli ktoś w Polsce nadaje swemu utworowi tytuł „Wesele”, automatycznie wpisuje się narodową tradycję rozrachunku, któremu przyświecało przed 120 laty „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego. Zaczęto więc czytać film Smarzowskiego jako rozprawę z polską zaściankowością (by nie powiedzieć wręcz „wsiowości”), rozrachunek z mentalnością chłopską lub PRL-owską, sztyderstwo z nieprzystosowania Polski i Polaków do Europy jako szeroko rozumianego zbioru wartości Unii Europejskiej, do której nasz kraj przystąpił kilka miesięcy przed premierą filmu.

Film życzliwie przyjęty przez krytykę, wzbudził burzliwą dyskusję. I tak już miało być przy każdej nowej kinowej fabule. Smarzowski kontynuował swoje porachunki z „wsiowością” („Dom zły”), pytał o autochtonów na tużpwojennych Mazurach („Róża”), obnażał szeroko pojętą korupcję władzy („Drogówka”), rozważał skutki alkoholizmu („Pod Mocnym Aniołem”), spróbował opisu rzezi wołyńskiej („Wołyń”), z niepokojem pytał o miejsce Kościoła w życiu społecznym Polaków („Kler”).



Wojciech Smarzowski na planie filmowym

Fot. materiały prasowe

Najnowszy film Smarzowskiego nosi tytuł „Wesele”. Od poprzedniego „Wesela” dzieli go 15 lat. Fabuła nawet podobna: bogaty wiejski przedsiębiorca wydaje ciężarną córkę za mąż (jakkolwiek pan młody jest akurat ojcem dziecka), huczne wesele ma podobny przebieg (w trakcie imprezy trzeba sfinalizować brudne interesy), alkohol leje się strumieniami, opadają maski, ba, tak jak poprzednio siekiera zostaje wbita w silnik luksusowego auta. Pojawia się jednak wątek poprzednio nieobecny, co nie znaczy, że zupełnie nowy (wszak był już u Wyspiańskiego, jakkolwiek marginalnie). Chodzi o relacje polsko-żydowskie.

Otóż na chwilę przed rozpoczęciem uroczystości docierają do domu panny młodej przedstawiciele Ambasady Izraela z wiadomością, że dziadek dziewczyny został wyróżniony medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata. W stojącym nad grobem starcu budzi to wspomnienia, sięgające lat 30. i okresu okupacji. Pamięć podpowiada obrazy pobliskiego miasteczka, zamieszkałego wówczas przez społecz-

ność żydowską, a także historię młodszej miłości do żydowskiej dziewczyny. Nadchodzi wrzesień 1939 roku, okolica zostaje zajęta początkowo przez Armię Czerwoną, która wkrótce jednak wycofuje się, ustępując miejsca – na mocy traktatu Ribbentrop–Mołotow – hitlerowcom. Obrazy współczesności i wydarzeń sprzed 80 lat nakładają się wzajemnie. Antysemickie kazanie sprzed miesza się w retoryce ze współczesnym kazaniem przeciwko społeczności LGBT, działania aktywistów niesławnego ONR z okrzykami faszystujących kibiców lokalnego klubu piłkarskiego. Ale głównym tematem wspomnień są obrazy zagłady żydowskiej społeczności, dokonywane w swej nadgorliwości polskimi rękami – przy aprobacie hitlerowskich oprawców. W pewnej chwili Żydzi zostają spędzeni do jednej ze stodół i podpaleni, a następnego dnia pochowani w wykopanym przez Polaków wspólnym grobie, który przez dekady pozostał nieoznakowany.

Wspomnienia wspomnieniami, a Smarzowski prowadzi weselną narrację: typowe



zabawy ludu polskiego, interesy i interesiki, zastawiane dla żartu bądź z zemsty pułapki na uczestników imprezy, jakże polskie postawy. Co jakiś czas weselni gości wypowiadają po kilka słów do kamery: to przerywniki i życzenia, które uzupełnią relację wideo na pamiątkę dla młodej pary. Ale rejestrowane wypowiedzi odnoszą się zarówno do terażniejszości, jak i do przeszłości. Nagle pada zdanie „Były dwie stodoły – w jednej Żydów ukrywano, w drugiej ich palono”. Niby wyjęte z kontekstu, ale w sposób jasny odwołujące się do coraz trudniejszej atmosfery w relacjach polsko-żydowskich. To jawne nawiązanie do sprawy Jedwabnego, gdzie w 1941 roku Polacy dokonali pogromu społeczności żydowskiej, dokonując spalania żywcem ponad 300 osób. Ale to, co w 2001 roku, w 60. rocznicę wydarzeń, wydawało się oczywiste, dziś przez oficjalne czynniki bywa kwestionowane, a historykom, którzy dowodzą, że Polacy podczas wojny nie tylko ratowali Żydów, ale przyczyniali się do ich Zagłady, grozi się procesami.

Smarzowski oddaje sprawiedliwość faktom: ci sami ludzie, którzy zagonili Żydów do stodoły i później ich chowali, uczestniczyli w ratowaniu tych nielicznych, którym udało się uniknąć pogromu, a część z nich zapłaciła najwyższą cenę. W filmie pojawia się jeszcze jeden istotny wątek: bohater, ojciec panny młodej, odkrywa, że jest adoptowanym żydowskim dzieckiem, w pewnym sensie ofiarą marca 1968 roku (pozostawiony w zakonnym sierocińcu przez zmuszoną do emigracji matkę). Prawda tym bardziej bolesna, że sam jest przedsiębiorcą branży mięsnej, specjalizującym się w produkcji wieprzowiny, a do tego planującym rozbudowę swego zakładu na miejscu pochówku spalonych Żydów. Czy może być bardziej oczywisty przekaz, że w kraju, w którym dzięki wielokulturowemu i wieloetnicznemu tygłowi w zasadzie nikt nie zna swego pochodzenia, antysemityzm jest czymś obcym i niewskazanym?

„Wesele” Smarzowskiego miało premierę tuż po gdyńskim festiwalu, w którym zresztą nie startowało. Film obejrzało około pół miliona widzów (najlepszy do początków grudnia wynik polskiego filmu w kinach!), a do dyskusji, którą wywołał, włączył się nawet wicepremier i minister kultury prof. Piotr Gliński. Sęk w tym, że jego słowa zaskakują i wzbudzają zażenowanie. Gliński określił bowiem film Smarzowskiego jako przykład „kultury zdegenerowanej”. Abstrahując już od fatalnych konotacji, jakie budzi samo sformułowanie (tymi słowami funkcjonariusze III Rzeszy deprecjonowali dzieła artystów żydowskiego pochodzenia), zając takie stanowisko wobec dzieła, które sugeruje rozwiązanie bolesnego i przeciągającego się impasu w relacjach polsko-żydowskich? Niepojęte. ■

Dyplomy uznania za wybitne zasługi dla promocji polskiego filmu w świecie

Ośmiu wybitnych promotorów polskiego filmu otrzymało specjalne dyplomy uznania za znaczący wkład w promocję polskiego filmu w świecie. Przyznane przez Society for Arts dyplomy zostały wręczone przybyłym laureatom w czasie ceremonii otwarcia 33. Festiwalu Filmu Polskiego w Ameryce w listopadzie br.

Wyróżnieni zostali: Dr. Michał Friedrich, współtwórca (wraz z Tomem Podlem) Festiwalu Filmu Polskiego w Seattle, Prof. Ewa Miernowska, założycielka PFF w Madison, Prof. Andrzej Myc, który przez ponad 20 lat organizował z zespołem współpracowników PFF w Ann Arbor, Dr. Bożena Sobolewska, przejęła i rozwinęła FPP w Rochester, Maria Staszkiwicz, kierująca grupą organizatorów FPP w Pittsburghu, Prof. Małgorzata Stefańska, która stworzyła PFF w Buffalo, Dr. Zbigniew Wojciechowski, który wraz z żoną Grażyną stworzył PFF w Houston i Zofia Schrotten-Czerniejewicz, prężnie działająca w Holandii, która w 1992 r. zbudowała organizację Scena Polska powołaną do popularyzacji polskiego teatru, a od 1995 r. w kinach na terenie całego kraju organizuje festiwale i przeglądy polskiego filmu.

„Oskary, festiwalowe Grand Prix, dystrybucja kinowa – to wszystko nie spada z nieba – mówił Krzysztof Kamyszew, twórca PFFA i Prezes Society for Arts – Wieloletnia praca u podstaw, organizacja przeglądów, stałe przedstawianie twórców i ich dzieł po latach starań przynosi wymierne efekty: odbiorca nie tylko zaczyna lepiej rozumieć kontekst kulturowy czy poetykę danego artysty, ale chętniej dokonuje porównań i ogląda nowe filmy zapoznanych wcześniej twórców. To właśnie ludzie, którzy na co dzień przez lata promują polskie kino w świecie, stojąc anonimowo za kulisami, poświęcając ogrom czasu i często angażując własne środki, zarażając swoją pasją innych, to oni mają wymierny wkład



w liczne sukcesy polskiego kina w ostatnim ćwierćwieczu. I za to należą im się wielkie podziękowania.”

<https://pffamerica.org/>

Moje podziękowanie:

Niespodziewanie dotarła do mnie wiadomość o przyznaniu szaczonego Dyplomu i zaproszenie na uroczystość wręczenia. Jak wiadomo, moją obecność na otwarciu Festiwalu w Chicago porównać mogłam w tym czasie do wyprawy w Kosmos. Dziękując z całego serca za to wielkie uznanie pracy mojej i całego zespołu wolontariuszy ze Sceny Polskiej zapewniam, że nie spożniemy na laurach, a ten Dyplom daje nam poczucie wsparcia i więzi ze strony podobnych jak my społecznych pasjonatów polskiego filmu w świecie. Mam nadzieję, że prezes Society for Arts będzie naszym gościem na planowanej jesienią 2022 roku uroczystej Jubileuszowej Gali 30-lecia Sceny Polskiej i osobiście wręczy mi w obecności całego zespołu społecznych działaczy ten Dyplom, który dotarł do Holandii w postaci skanu i którym się z dzielę teraz z Czytelnikami. Wielka radość!

ZOFIA SCHROTTEN-CZERNIEJEWICZ

Konrad (nie) był kobietą



KAMIL RUDZIŃSKI

Przed 120 laty, na scenie Teatru im. Słowackiego w Krakowie, Stanisław Wyspiański odważył się po raz pierwszy wystawić „Dziady” Adama Mickiewicza. Dziś, po 120 latach, „Dziady” znów wchodzi na afisz Słowackiego, ale w sposób szczególny. Z deklaracji uznanej reżyserki Mai Kleczewskiej, która jest autorką obecnej inscenizacji, wynika, że Mickiewiczowski Konrad jest kobietą.

W wywiadzie dla „Wysokich Obcasów”, feministycznego (bo już od dawna nie kobiecego) dodatku „Gazety Wyborczej”, Kleczewska mówi: „Konrad jest kobietą. Nie mam żadnej wątpliwości, że ktoś, kto walczy dzisiaj o wolność, o prawo o decydowania o sobie, pyta o cierpienie, o skutki cierpienia, pragnie zaśpiewać „pieśń szczęśliwą”, jest Konradem. Postać Konrada niesie wszystkie współczesne postulaty kobiet w Polsce i nie tylko, bo feministyczne ruchy emancypacyjne są dzisiaj w wielu krajach”. – Czy to nie koniunkturalizm? – pyta swoją rozmówczynię Mike Urbański. „Uważam – odpowiada Kleczewska – że dzieło, które nazywamy narodowym dramatem jest albo lustrem dla naszej rzeczywistości i wtedy wywołuje wstrząs, albo jest tak wystawione, że nikogo nie obchodzi. Mnie jest bliski raczej ten pierwszy wariant. Myślę, że obraz oglądanej w „Dziadach” współczesnej Pol(s)ki jest wstrząsający”.

W tym momencie należałoby oddać głos recenzentom, którzy powinni ocenić, na ile wizja reżyserki spełniła się w sposób naturalny, a na ile pozostaje tworem sztucznym, wartością naddaną – czytając: koniunkturalizmem właśnie. I tu pojawia się kłopot. „Dziady” Kleczewskiej miały premierę w piątek 19 listopada, a już 23 listopada, we wtorek, małopolska kurator oświaty, znana ze swoich konserwatywnych (to eufemizm!) poglądów powiadomiła na Twitterze dyrektorów szkół: „W związku z uzyskaniem informacji o wystawianym obecnie w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie spektaklu »Dziady« Małopolski Kurator Oświaty informuje, że w jego ocenie spektakl ten za-

wiera interpretacje nieadekwatne i szkodliwe dla dzieci i uczniów, które nie wpisują się w cele systemu oświaty. (...) Wskazana we wstępie interpretacja »Dziadów« Adama Mickiewicza jest swobodną emanacją poglądów środowiska, które pragnie kształtować spojrzenie społeczne na współczesną Polskę nie z troską, miłością należną Ojczyźnie, lecz z nienawiścią do jej rodowodu historycznego, do tożsamości narodu ugruntowanego na fundamencie tradycji cywilizacji łacińskiej. Ten spektakl zawiera i promuje treści, które pozostają w jawnej sprzeczności z celami wychowania młodych Polaków określonych w preambule Prawa Oświatowego. Biorąc pod uwagę powyższe, Małopolski Kurator Oświaty zdecydowanie odradza organizowanie przez szkoły wyjść dzieci i młodzieży na ten spektakl”. Co ciekawe, pani kurator wysłała swego tweeta dokładnie w 54. rocznicę decyzji o zdjęciu „Dziadów” w inscenizacji Kazimierza Dejmka ze stołecznego Teatru Narodowego. Jak wiadomo, decyzja ta wywołała protesty studentów, które w rezultacie doprowadziły do Marca 1968 roku.

Efekt? Dwojaki: z jednej strony bilety na „zakazany” spektakl zostały wysprzedane na 3 miesiące naprzód, z drugiej zaś strony – nie udało się przeczytać wiarygodnej recenzji, bo media prorządowe staną murem za panią kurator, zaś media skupione wokół środowisk opozycyjnych będą się doszukiwać wątków i motywów wskazywanych przez reżyserkę. Jedyny pozytyw to ten, że Teatr im. Słowackiego, przeżywający – jak każdy teatr miejski w Polsce – trudne chwile, dostanie wiatru w skrzydła i wróci do dawnej formy. O ile, rzecz jasna, nie znajdzie się grupa fanatyków, którzy – jak to było w przypadku „Kłątwy” Wyspiańskiego w stołecznym Te-



Jan Peszek – Senator

Fot. mp



Konrad – Dominika Bednarczyk

Fot. mp

atrze Powszechnym – będą pikietować wejście do budynku przed spektaklami.

Cóż, miłośnicy współczesnego teatru muszą się liczyć z tym, że pewnego dnia obejrzą – na przykład – historię młodzieńczej miłości Romea i Julii, która rozgrywać się będzie w domu starców, a Capulettich i Montekich zastąpi personel medyczny, broniący dostępu do piętra pań lub panów. Zresztą, mieliśmy już Hamleta granego przez kobiety – i to nie były jakie gwiazdy, jak Sarah Bernhardt czy Teresa Budzisz-Krzyżanowska. Czemu więc nie mamy mieć Konrada w spódniczce?

Ano, z jednego powodu. O ile „Hamlet” to włoska bajka z czasów renesansu, rozgrywająca się w nikomu nieznanym Danii (by ją uwiarygodnić), o tyle za „Dziadami” drezdeńskimi, chociaż miały powstać w ciągu jednej nocy, stoją konkretne fakty. Otóż III część „Dziadów” opowiada o Filaretach i Filomatach, dwóch organizacjach studenckich Uniwersytetu Wileńskiego, działających na początku lat 20. XIX wieku, które zaczynały jako jawne kółka samokształceniowe, by z czasem przerodzić się w organizacje patriotyczne. Liczyły w sumie około 20 osób i nikt by zapewne o nich dziś nie pamiętał, gdyby nie brutalne, oparte na fałszywych przesłankach śledztwo hrabiego Nikołaja Nowosilcowa, wileńskiego kuratora oświaty (a z czasem przewodniczącego Rady Państwa i Komitetu Ministrów Imperium Rosyjskiego), które młodzi przypłacili zesłaniem lub więzieniem. Na liście członków obu organizacji kobiet nie było. Takie czasy: dziewczyny na świecie – a coś dopiero w prowincjonalnym Wilnie – zaczęły studiować pół wieku później. ■

Koledzy Wałęsa, o których zapomniano



CEZARY ŁAZAREWICZ

W filmie „Wałęsa. Człowiek z nadziei” brakuje wątku o ludziach, którzy pomagali Lechowi Wałęsie, a potem popadli w zapomnienie.

Ich nazwisk prawie nikt nie zna. Nie ma ich ani w podręcznikach historii, ani w prezydenckich wspomnieniach, ani nawet w filmie Andrzeja Wajdy. Czasem, gdy Lech Wałęsa wspomina początki swojej walki, pojawiają się w tle tej opowieści jako ludzie od czarnej roboty, bezimienni członkowie jego grupy ze Stogów.

W 1979 r. do grupy Stogi należeli jeszcze 24-letni kierowca Sylwester Niezgodą i 47-letni ślusarz Leon Stobiecki (zmarł 2019). Później dołączył Józef Drogoń ze Stoczni Północnej.

Gdy się patrzy na kuśtykającego Kazimierza Żabczyńskiego, trudno uwierzyć, że był kiedyś komandosem WZZ. Że wykonywał zadania specjalne, malował mury, rzucał ulotki, rozwoził je po Pomorzu i był na każde wezwanie Lecha. On i mieszkający nieopodal przy ulicy Ugory Sylwester Niezgodą byli podporą całej grupy. Potrafili całą noc drukować ulotki, a rano pakować do siatek i jechać z nimi do centrum miasta i rozrzucić wśród ludzi. W styczniu 1980 r. Niezgodą i Żabczyński podpalają wielką propagandową tablicę stojącą przed Elektromontażem: „Polityce Partii nasze tak”. To wielkie logistyczne przedsięwzięcie, ale nikt nie wpada. Do sierpnia zajmują się łącznością z robotnikami, kursując między Słupskiem i Elblągiem. W sierpniu Wałęsa powierza im niezwykle trudne zadanie. O świcie 14 sierpnia mają w kolejce jeżdżące przez Trójmiasto wręczać ulotki informujące o strajku, który za kilka godzin ma wybuchnąć. Dzień wcześniej ukrywają się po krzakach i rowach, by o świcie wsiąść do „elektryczki” i wykonać zadanie. Żabczyński z Niezgodą docierają do stoczni w południe 14 sierpnia. Mówią stoczniowcom, że są z grupy Lecha Wałęsa, ale jeszcze nie wszyscy go tutaj znają. – Strajkiem kierował wtedy Andrzej Gwiazda i jego żona Joanna, a Lechu dopiero powoli się wkrczał.

Jedno z ostatnich wspólnych zdjęć grupy Stogi zostało zrobione przy grobie Tade-



usza Szczepańskiego w marcu 1980 r. Na tle brzoźowego krzyża stoją Żabczyński, Stobiecki, Niezgodą i Wałęsa z dwoma synami: dziesięcioletnim Bogdanem i sześciolatkiem Przemkiem.

Po Sierpniu Żabczyński i Niezgodą trafili do pracy w „Solidarności”. Pierwszy został drukarzem, drugi kierowcą. W 1981 r. oskarżają Mieczysława Wachowskiego, najbliższego współpracownika przewodniczącego „Solidarności”, o związki z SB i w trakcie szamotania wymierzają mu kilka kopniaków w tyłek. Wałęsa reaguje nerwowo, wzywa ich na dywanik i opiernicza. Tak się kończy ich przyjaźń.

Tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego w grudniu 1981 r. Sylwester Niezgodą ukrywa się na statku handlowym i w ten sposób udaje mu się uciec do Holandii. Zrywa kontakty. Pod koniec lat 90. jest kierowcą tira i przejeżdżając przez Gdańsk, odwiedza Żabczyńskiego (zmarł w 2015). Obiecuje, że wpadnie następnym razem, ale ślad po nim ginie. Trzy miesiące temu (2013) z nekrologu zamieszczonego w lokalnej gazecie koledzy dowiadują się, że zmarł na obczyźnie.

**ŹRÓDŁO: WPROST 4.10.2013
(PRZEDRUK ZA ZGODĄ AUTORA)**

Wspomnienie

Mieszkał w Delft. Poznałam go w 1984 roku przez Stanisława i Janinę Nikerk. Telefonował przy nas do Lecha Wałęsa i z nim rozmawiał, początkowo myślałam, że udaje. Nie udało... Spotykaliśmy się często prywatnie. Angażował się bardzo w sprawy polskie, pomagał każdemu przyjeżdżającemu do Holandii Polakowi. Żywił, pomagał przenocować, załatwiał pracę. Nikomu nie odmawiał pomocy, chociaż sam powinien ją otrzymywać. Gdy zmarł, byłam z rodziną w Polsce. Winna jestem opowiedzenia o nim historii. Na pewno to się Sylwskowi należy. Gdyby ktoś z Czytelników chciał dodać swoje wspomnienia o nim to proszę o kontakt z redakcją: poolspodium@gmail.com

Nawiązałam kontakt z Cezarym Łazarewiczem, który zgodził się na publikację swojego artykułu z 2013 roku. Dziękuję za to.

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ



Ambasador Janusz Stańczyk i Sylwester Niezgodą, Delft 2009

„Paczka serca dla Polski” – wystawa plenerowa przy Ambas

STAAT VAN BELEG IN POLEN

13 DECEMBER 1981

Op 13 december 1981 neemt de Jozef-Bald van State een wet aan over de invoering van de staat van beleg in Polen. Activisten van de Onafhankelijke Arbeiders Vakbond „Solidarność” worden gearresteerd. Meer dan 10.000 mensen worden naar interneringskampen gestuurd, waaronder de voorman van „Solidarność” Lech Wałęsa. Scholen, kantoren, bioscopen en theaters worden gesloten. Telefoons worden uitgeschakeld, privécorrespondentie gecensureerd en de anonimiteit wordt ingevoerd. Twee jaar de 10 jaren van Poolse steden op... Het leven komt stil te staan...



DEMONSTRATIES IN NEDERLAND

DECEMBER 1981

Na het nieuws van de staat van beleg in Polen, kwamen duizenden mensen de straten van Europese steden op om hun steun te betonen aan de onafhankelijke Joden van „Solidarność”. Ook werden er demonstraties gehouden in verschillende Nederlandse steden, waaronder Amsterdam en Den Haag.

Arbeidersverzet in Polen duurt voort

EEN PAK VAN JE HART VOOR POLEN

KARTA ZAOPATRZENIA „C-2”
Nr C 571171
Ważna od dnia 01-01-1985 r.

W. Z. N.

een Pak van je Hart voor Polen
Stichting Vriendenloop

Als gevolg van toenemende economische problemen in Polen en de invoering van de staat van beleg op 13 december 1981, worden de distributie van goederen ernstig verstoord. Over de hele wereld worden goederenpakketten ter behoeve van de Poolse bevolking verzonden. De campagne „Een pak van je Hart voor Polen” gaat in Nederland van start.



UTRECHT – Uitgevaardigd en toegelaten door duizenden twee glimlachend de voedselkaravan naar Polen toch aanvankelijk nog geprobeerd het publiek op een afstand te houden. Op een half uur vertraging van het belangstelling geen problemen opgelost.

Als alles volgens plan verloopt komt de kilometerlange raandagavond om acht uur bij de Poolse grens aan. Of de vraag: Wim Witasberg, de leider van het komoot, voorzitter van de Poolse ambassade heeft hem teletext berichten voor de Nederlandse Haagse postbodeven wijl open.

„En als we niet worden toegelaten, dan wachten we”, de vrachtwagenchauffeurs zijn we eraan gewend uren of dagen te wachten. Over het weer maakt hij zich geen zorgen, „niet reactie”.

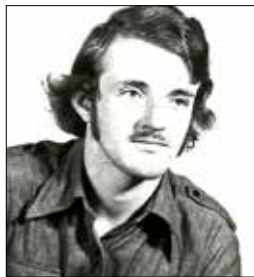
De vrachtwagen zijn voornamelijk gevuld met karnemelk, ook zout en shampoo...

Expositie RP w Hadze, Alexanderstraat 13 (8.12.21 – 15.01.22)



Grudzień 1981

– kierunek Polska, dwie wizy



FOKKO SCHROTEN

W moim starym paszporcie są dwie grudniowe wizy do Polski. Pierwsza, miała mnie „zawieźć” na narty w polskie góry (z 2 grudnia, anulowana), druga (z 23 grudnia, ważna 5 dni) pozwoliła mi na przekroczenie granicy wraz z transportem humanitarnym i kilkudniowy pobyt w Poznaniu. Wieczorem 28 grudnia, tuż przed godziną policyjną zapukałem do drzwi mieszkania mojej przyszłej żony. Mówiła mi, że zobaczyła wtedy „ducha”.

Po raz pierwszy spotkałem moją przyszłą żonę na obozie studenckim w Finlandii w 1974 roku. Potem przez lata korespondowaliśmy w języku angielskim, a dzięki moim studiom polonistycznym na Uniwersytecie w Amsterdamie (poza głównymi studiami na elektrotechnice w Delft) potem również w języku polskim. Żeby poznać lepiej Polskę, odważyłem się nawet na odbycie praktyk studenckich w Warszawie, w latach, gdy wszystko prawie było na kartki. Nam, studentom z Zachodu talony nie przysługiwały. Tak więc brakowało mi czasami cukru, ale zawsze można było zapukać do sąsiada w akademiku. Przybywało przyjaciół, którym po powrocie załatwiałem zaproszenia do „zwiedzania” Holandii, a tak naprawdę to do pracy w szklarniach.

Lata upływały i zacząłem myśleć o tym, aby założyć rodzinę. Po to miałem wybrać się 15 grudnia 1981 roku na narty i poznać bliżej moją drugą połowę. To była nasza wspólna decyzja. Niestety, dwa dni wcześniej nasze plany przerwało ogłoszenie 13 grudnia stanu wojennego. Moja wiza, planowane 20 dni pobytu i plan na życie zostały „anulowane”. Koniec wszystkiego.

Ale . . . szybko pojawiła się miła niespodzianka. Pod koniec grudnia dostałem zgodę na wyjazd, jako pilot furgonetki ANWB z transportem humanitarnym do Polski. Byliśmy częścią transportu, który już 11 grud-

nia przybył do Polski i składał się z 150 wypełnionych „pomocą” TIR-ów. W Holandii zebrano na ten cel... 9 milionów guldenów!

My przekroczyliśmy granicę w Świecku 28 grudnia. Przed wyjazdem zebraliśmy się gdzieś w Achterhoek i wyjechaliśmy w kolumnie. Byliśmy pierwszym samochodem, który dojechał do polskiej granicy, ale kiedy powiedzieliśmy celnikom, że za nami wciąż zbliżają się 52 samochody, pozwolono nam kontynuować podróż bez kontroli. Po drodze w Polsce widziałeś namiot z żołnierzami tu i ówdzie, ale wystarczyło machanie, żeby kontynuować.

Jechałem razem z moim przyjacielem Janem, a celem naszym był Stryków pod Łodzią. Po drodze planowaliśmy zatrzymać się w Poznaniu. Ale natrafiliśmy na poważną barierę. Czytałem wcześniej, że Polska została podzielona na kilka regionów, gdzie można było swobodnie podróżować tylko we własnym regionie, ale jeśli trzeba było wyjechać do innego regionu, potrzebowano pozwolenia od reżimu. My zaryzykowaliśmy postój bez pozwolenia. Bez problemu udało nam się spędzić noc w Poznaniu.

Następnego dnia jechaliśmy dalej, aż w końcu zatrzymaliśmy się kilka kilometrów przed Łodzią. Teraz inspektor również



Jan Dam Bakker

fot. autor

okazał się bardzo zdziwiony, że przejechaliśmy już kilka regionów, ale nie mogliśmy pokazać mu dokumentu z wyraźną zgodą. Musiał zadać kilka pytań i odjechał na godzinę. Wróciliśmy z ogłoszeniem, że pozwolono nam podróżować dalej do naszego celu. Hura! W drodze powrotnej utknęliśmy w śniegu, ale na szczęście z pomocą miejscowych udało nam się uwolnić. Wróciliśmy szczęśliwie do Holandii. Misja zakończona, a dzięki transportowi humanitarnemu w grudniu 1981 udało mi się spotkać z przyszłą żoną i podjąć decyzję o ślubie, który odbył się w kwietniu 1982 roku. Może kiedyś o tym napiszę... ■

Pools konvooi teruggekeerd

1 minuut leestijd

LICHTENVOORDE — Bijna alle 53 auto's die op 27 december vanuit Lichtenvoorde zijn vertrokken met hulpgoederen voor Polen waren Oudejaarsdag weer terug in Nederland.

Het konvooi van acht vrachtauto's en 45 busjes bracht ruim driehonderd ton aan levensmiddelen, kleding en medicamenten naar Polen. Dat heeft de leider van het konvooi Scholten donderdagmiddag meegedeeld.

De meerderheid van de auto's was afkomstig uit de oost-Achterhoek. Via het Rode Kruis sloten auto's uit Zaanstad, Delft, Harlingen, Rotterdam en Den Haag zich bij het transport aan. Via het Rode Kruis waren ook de contacten met Polen gelegd. De goederen werden afgeleverd in ziekenhuizen, weeshuizen, kindertehuizen, bejaardentehuizen en pastorieën in steden als Gdynia, Gdansk, Warschau, Poznan, Krakow en Czestochowa. Volgens Scholten hebben de Nederlanders een goede behandeling gekregen van de militaire autoriteiten.

Polski konwój powrócił

LICHTENVOORDE — Prawie wszystkie 53 samochody, które 27 grudnia wyjechały z Lichtenvoorde z pomocą humanitarną dla Polski, w Nowy Rok wróciły do Holandii.

Konwój ośmiu ciężarówek i 45 furgonetek przywiózł do Polski ponad trzysta ton żywności, odzieży i leków. Lider konwoju Scholten poinformował o tym w czwartek po południu.

Większość samochodów pochodziła ze wschodniej części Achterhoek. Do transportu przez Czerwony Krzyż dołączyły samochody z Zaanstad, Delft, Harlingen, Rotterdamu i Hagi. Kontakty z Polską nawiązano także za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. Towar trafił do szpitali, domów dziecka, domów spokojnej starości i plebanii w miastach takich jak Gdynia, Gdańsk, Warszawa, Poznań, Kraków i Czestochowa. Według Scholtena Holendrzy zostali dobrze potraktowani przez władze wojskowe.

TŁUMACZENIE FS



Dit is een artikel uit het **NRC-archief**

TRANSPORT

Konvooi voedsel onderweg in Polen

VOEDING TRANSPORT VOEDSEL VOERTUIGEN POLEN ANWB DEN HAAG NEDERLAND
POZNAN ROTTERDAM WARSCHAU

15 december 1981 Leestijd 1 minuut



Door een onzer redacteurs ROTTERDAM, 15 dec. – Het konvooi vrachtwagens met voedselpakketten uit Nederland is gisteravond Polen binnengereden. Volgens de Utrechtse transportondernemer Hoek, wiens bedrijf het konvooi heeft georganiseerd, zijn de vrachtwagens naar het vliegveld bij de Poolse stad Poznan begeleid. Sindsdien heeft hij echter geen contact meer kunnen krijgen met het transport. Ook de ANWB, die met hulpgoederen meerijdt, is sinds gisteren niet meer op de hoogte van de voortgang van het konvooi. De ANWB verwacht dat de ambulance en andere ihulpwagens die meerijden snel Warschau zullen bereiken en zich daar in verbinding stellen met de Poolse zusterclub van de ANWB, de PZM. De bond hoopt dat de telex van de PZM niet is afgesloten en dat via de zusterclub de communicatie met de Nederlandse vrachtwagens in Polen kan worden hersteld. Een woordvoester van de Poolse ambassade in Den Haag zei vanmorgen bericht te hebben ontvangen dat het konvooi Polen is binnengetrokken. Meer informatie kon zij niet geven, omdat volgens haar ook de ambassade geen verbinding met Polen kan krijgen. Het Nederlandse voedseltransport was gistermiddag bij de grenspost Helmstedt/Marienburg de Oostduitse grens gepasseerd. De wagens werden aan de Oostduitse grens volgens de voorschriften gecontroleerd. Het inklaren van de vrachtwagens en de begeleidende voertuigen nam viereneenhalf uur in beslag, het konvooi werd voor de rit door de DDR in groepen van ongeveer dertig vrachtwagens gesplitst, die in verband met de winterse weersomstandigheden ruim afstand van elkaar moesten bewaren.

Jeden z naszych redaktorów ROTTERDAM, 15 grudnia 1981. — Konwój ciężarówek z paczkami żywnościowymi z Holandii wjechał wczoraj do Polski. Według utrecht-kiego przedsiębiorcy transportowego Hoeka, którego firma zorganizowała konwój, ciężarówki zostały eskortowane na lotnisko w pobliżu Poznania. Od tego czasu nie mógł jednak skontaktować się z transportem. ANWB, która podróżuje z zaopatrzeniem humanitarnym, również od wczoraj nie jest świadoma postępów konwoju. ANWB spodziewa się, że jadące nią karetki pogotowia i inne pojazdy ratunkowe szybko dotrą do Warszawy i połączą się tam z polskim siostrzanym klubem ANWB, PZM. Związek ma nadzieję, że teleks PZM nie zostanie zamknięty, a komunikacja z holenderskimi ciężarówkami w Polsce zostanie przywrócona za pośrednictwem siostrzanego klubu. Rzeczniczka ambasady RP w Hadze powiedziała, że dziś rano otrzymała wiadomość, że konwój wjechał do Polski. Nie była w stanie podać więcej informacji, ponieważ według niej ambasada nie może też nawiązać połączenia z Polską. Holenderski transport żywności przekroczył wczoraj po południu granicę NRD na posterunku granicznym Helmstedt-Marienburg. Samochody zostały sprawdzone zgodnie z przepisami na granicy wschodnioniemieckiej. Odprawa ciężarówek i pojazdów towarzyszących trwała cztery i pół godziny, konwój został podzielony na grupy około trzydziestu ciężarówek na podróż przez NRD, które ze względu na zimowe warunki pogodowe musiały zachować odpowiednią odległość od siebie.

TLUMACZENIE FS

Lektura (nad)obowiązkowa

Zielony Punkt z widokiem na Manhattan



EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI

„Greenpoincka zabawa/ w sobotę wieczorem/ To tutaj sprzątaczką/ Baluje z kontraktorem./ To tu przegląd mody/ i przegląd kochanek/ Tu przyjdzie młody Jarek/ i siwiejący Janek”.

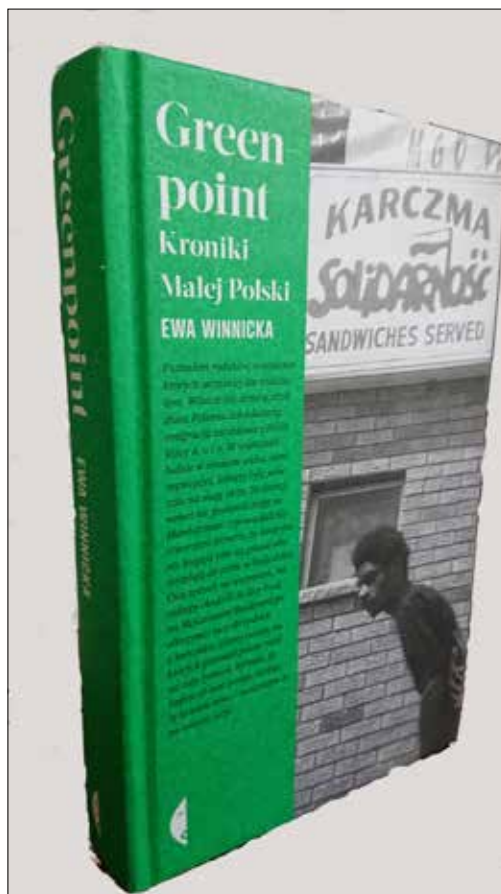
To w sumie smutna książka (Ewa Winnicka: „Greenpoint. Kronika Małej Polski”, wyd. Czarne, 2021). Chwilami zabawna, wręcz śmieszna, ale generalnie pozostawia po sobie smutek i refleksje niekoniecznie buchające optymizmem. Ewa Winnicka cztery lata rozmawiała z polskimi mieszkańcami Greenpointu, studiowała historię tego miejsca i losy kilku pokoleń imigrantów. Ludzi, którzy znaleźli się w USA z najrozmaitszych przyczyn, choć w jakimś sensie łączą ich wspólny mianownik; American Dream oznaczał być może dla każdego z nich coś innego, ale przecież chyba każda z tych osób była przekonana, że spotka ją, jeśli nawet nie bogactwo, to przynajmniej zamożne życie. Dużej części z nich rzeczywiście się to udało. Szczególnie, jeśli odniesie się to do biedy, którą klepali w Polsce. Ich opowieści, w zasadzie niekomentowane przez autorkę, przekazują nam, emigrantom nazwijmy to europejskim, obraz nieco przerażający. Nie tylko dlatego, że tam wszystko wydaje się być wielokrotnie większe: zdobywane majątki, ale i bieda; kupowane kamienice ale i karaluchy czy pluskwy je wypełniające; wzajemne sympatie sąsiedzkie ale i zawiść i mordercza

konkurencja choćby polonijnych organizacji. Nawet kluby „Gazety Polskiej” odnoszą na Greenpoincie znacznie większe propagandowe sukcesy, niż tu, w Amsterdamie (na spotkanie z Ewą Kurek przyszło tam kilkaset osób – u nas zaledwie kilkadziesiąt, w tym kilka dających śmiały odpór antysemickim teoriom głoszonym przez historyczkę z Lublina).

Zastanawiam się, czy my – Polacy w Niderlandach – w podobny sposób opowiadalibyśmy swoje tu przeżycia. Czy nasze przygody w jakikolwiek sposób równają się tamtym, „amerykańskim” czy może raczej tylko nowojorsko-brooklińskim. Greenpoint to niemal symbol losu nowojorskich imigrantów, nie tylko Polaków, bo i Włosi i Portorykańczycy się tam masowo osiedlili. Cała duża część „należała” jednak do Polaków, była „polska”, z polskimi sklepami, polskimi kościołami, polskimi placówkami kulturalnymi. Z ludźmi, mieszkającymi tam przez dłu-

gie lata, często bez pozwolenia na pobyt i pracę, nieznającymi języka angielskiego, nieumiejącymi poruszać się w amerykańskiej rzeczywistości, w środowisku tworzącym z tego kawałka Stanów tak naprawdę małą, polską wieś. Ze wszystkimi jej cechami: zawiścią, pijaństwem, ostentacyjnym katolicyzmem pozbawionym wiary, cwaniactwem i...biedą. Wszystkie zarobione morderczą często pracą dolary wysyłali do rodzin w Polsce, do żon i dzieci, rodziców i rodzeństwa. A tamtym ciągle na coś brakowało; bo jeszcze traktor, bo dom, bo nowe auto, bo wesele. Więc zamiast wracać po półrocznych saksach, zostawali i tyrali dalej, gnieźdząc się po kilkanaście osób w tzw. sabwejach, czyli przechodnich pokojach wynajmowanych im często za duże pieniądze przez Polaków, którym poszczęściło się nieco lepiej i kupili dom. Myślę, że los imigrantów – także tych zarobkowych - w Holandii jest jednak nieco inny. Nawet biorąc pod uwagę wszystkie horrory dotyczące ich pracy czy warunków mieszkaniowych opisywane w gazetach, ich życie tutaj nie jest chyba aż tak dramatyczne, choćby dlatego, że mogą w każdej chwili pojechać do Kraju, do swoich. Że przebywają tu legalnie. Że nie czują się raczej zamknięci w obrębie swojej społeczności. Że życie nie toczy się pomiędzy pracą dwanaście godzin, polskim barem i kościołem. A może to Ewa Winnicka sprawia, że ich losy są tak barwne, tak interesujące, tak czasem wrzuszające? Może to umiejętnościom pisarskim autorki zawdzięczamy, że nie chcemy się od tych opowieści oderwać? I gdyby to właśnie ona napisała taką książkę o Polakach w Holandii, to okazałoby się, że mamy równie fascynujące historie życiowe? Może... Ale myślę, że taki Greenpoint może być tylko jeden i próżno byłoby szukać jego odpowiednika w Niderlandach.

A książkę gorąco polecam (tych, którzy nie mają jej jak kupić lub żal im pieniędzy informuję, że można ją wypożyczyć w Bibliotece Polskiej w Amsterdamie). ■



Jak wzmocnić intencję komunikacyjną?

Zabawa z kilkuletnim dzieckiem.



MONIKA JAWOREK

Czas świąteczny to okres wspólnych chwil z rodziną, długich rozmów, śmiechu, gier i zabaw. Mamy wówczas więcej czasu na rozmowy z naszymi bliskimi. Dla rodziców, którzy zawsze z wielką niecierpliwością czekają na pierwsze słowa i zdania swoich pociech, być może będzie to czas na wdrożenie kilku elementów podczas codziennych, domowych aktywności.

Pierwszą okazją do wyrobienia intencji komunikacyjnej jest zachęcenie dziecka do podejmowania drobnych decyzji.

Można zadawać pytania dotyczące jedzenia, picia, ubranka, celu spaceru itd.

Zadajemy dziecku pytanie: CHCESZ JEŚĆ czy PIĆ? (Jedzenie ani picie nie powinno być wówczas w zasięgu wzroku dziecka, ponieważ mamy trenować komunikację werbalną a nie gest wskazywania palcem.)

Po próbie odpowiedzi dziecka (początkowo może to być słowo zniekształcone lub onomatopeja) [am] lub [iç], podajemy dziecku efekt jego „decyzji” dodatkowo wzmacniając „Pić, tak! Damy Adasiowi pić”. Koniecznie w komentarzu należy podać poprawną nazwę.

Po kilku dniach rozbudowujemy ćwiczenie: CHCESZ ZJEŚĆ BUŁKĘ czy BANANA? CHCESZ PIĆ WODĘ czy SOCZEK? Potem jeszcze: MARCHEWKOWY czy JABŁKOWY? HERBATKĘ CIEPŁĄ, CZY ZIMNĄ? Itp. Pytania zadajemy zgodnie z regułami gramatyki języka polskiego aby dać szansę dziecku w osłuchaniu się poprawnej mowy. Każdy wysiłek dziecka oczywiście nagradzamy podając mu wybrany produkt i poprawnie jeszcze raz go nazywając.

Wybory mogą dotyczyć także ubioru: DZISIAJ ZAŁOŻYMY RAJSTOPKI czy SPODNIE? (jeśli nawet usłyszymy bardzo zniekształcony wyraz [ściotnie], ucieszymy się, wzmocnimy i ubierzmy dziecko tak jak s obie tego „zażyczyło”.

I wreszcie ruch na świeżym powietrzu. Jeżeli jest taka możliwość, dajmy dziecku podjąć decyzję i również w tej materii. Pytanie: IDZIEMY NA SANKI czy LEPIĆ BAŁWANA? Jeśli usłyszymy radosne: [bałana], albo nawet [ana], natychmiast cieszymy się, wzmacniamy, chwytamy (wybrane przedtem przez dziecko) szalik i czapkę i wyruszamy ku śniegowej przygodzie ...



Kiedy dziecko nauczy się, że jego słowa mają moc sprawczą, z zapalem będzie rozbudowywało tę umiejętność!

Proszę unikać nadmiernego „powiedz auto”, „powiedz tata”, „powiedz kotek”. Niektóre dzieci bardzo tego nie lubią i nie mają „interesu” zadowalać rodziców powtarzaniem jak papuga...

Znacznie fajniej jest zadać pytanie: „Popatrz, kto przyjechał?” „Tata? Tak, przyjechał (Adasia) tataaaaa!!!” I, w zależności od temperamentu, biegniemy razem z dzieckiem w stronę rzeczowego taty. Albo: „Popatrz, kto siedzi na oknie? Kotek! Tak! To jest kotek!”

Proszę także nie omawiać dziecku nadmiernie w krótkiej jednostce czasu od razu całego Świata. Bardzo łatwo jest „przytłoczyć” malucha nadmierną gadaniną, zapominając o konieczności dania mu czasu na jakąkolwiek reakcję, przetworzenie, zapamiętanie, także zadawanie pytań... Poza tym nasze dzieci, to jednostki niezwykle cwane i inteligentne, błyskawicznie mogą wpaść na pomysł, że jeżeli wszystko mają podane jak na tacy, to po co w ogóle mówić...

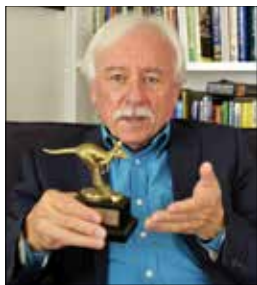
Budowanie systemu językowego przypomina trochę toczenie kuli śniegowej, najpierw powoli, uważnie, delikatnie (Klei się? Nie klei?) a następnie coraz więcej, lepiej i tak jakoś „samo”, bez większego wysiłku...

Trzymam kciuki, powodzenia!

**MONIKA JAWOREK LOGOPEDA,
NEUROLOGOPEDA, TERAPEUTA
PEDAGOGICZNY**



Moje spotkanie z Polą Negri



TED MATKOWSKI

Był rok 1982. Mieszkalem we Wiedniu Od mojego dobrego znajomego Mirka Małka, profesora University of Texas dowiedziałem się, że ma on dość dobry kontakt z mieszkającą w San Antonio Polą Negri. Po tej rozmowie z profesorem Małkiem zupełnie przypadkowo znalazłem na wiedeńskim Flohmarkt (markecie starości) starą przedwojenną pocztówkę z podobizną Poli Negri w kolorze sepii. Kupiłem pocztówkę i zadzwoniłem do Mirka Małka w Austin w Teksasie z prośbą o kontakt z Polą Negri. Byłem w ówczas współpracownikiem austriackiej telewizji ORF i pomyślałem, że może uda mi się zrobić wywiad z Polą Negri. Wywiad telewizyjny lub prasowy. Koledzy z ORF wyszperali wszystkie możliwe materiały o Poli Negri, która była bardzo znana w Austrii i w Niemczech zanim wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Od Mirka Małka otrzymałem dane kontaktowe Poli Negri. Napisałem do niej list z prośbą o spotkanie i o udzielenie mi wywiadu. Postanowiłem, że zdjęcie ze starej pocztówki powiększę do naturalnych rozmiarów i przekażę je w prezencie Poli Negri. Pocztówka była w kolorze sepii i miała liczne zadrapania – wymagała solidnego retuszu. W tamtych latach nie było jeszcze photoshopu a retusz musiałem robić ręcznie pędzelkiem. Spędziłem nad tym zdjęciem prawie tydzień wpatrując się w twarz tej młodej kobiety nie zdając sobie sprawy, że za kilkanaście dni będę miał przed sobą tę samą twarz po kilkudziesięciu latach od momentu, kiedy to zdjęcie było zrobione. Tak się dobrze złożyło, że z jednego z austriackich magazynów otrzymałem zlecenie zrobienia reportażu z Meksyku. Powiększone



do naturalnych rozmiarów zdjęcie zwinąłem w rulonik, włożyłem w plastikową rurkę hydrauliczną i poleciałem najpierw do Meksyku, po tygodniowym pobycie w Meksyku poleciałem do mojego znajomego w Austin w Teksasie. Mimo, że nie otrzymałem odpowiedzi na mój list, kilka

dni później pojechałem samochodem do Poli Negri w San Antonio.

Nigdy nie zapomnę niesamowitego wrażenia, kiedy drzwi otworzyła mi starsza pani z twarzą tej młodej dziewczyny, w którą patrzyłem przez wiele dni retuszując jej portret. Oczywiście lekko przesadzam ale mimo olbrzymiej różnicy wieku widziałem te same oczy i tę samą twarz. Wzruszona Pola Negri po obejrzeniu zdjęcia zapytała: „Co Pana sprowadza do mnie?”

– Jak już napisałem w moim liście do Pani bardzo chciałbym zrobić wywiad z Panią dla czytelników i widzów w Austrii. Ponadto, przygotowując się do tego wywiadu znalazłem w archiwach w Austrii i Niemczech wiele ciekawych materiałów, które chętnie udostępnię Pani, gdyby chciał Pani wydać drugi tom swoich wspomnień.

– Ja nie mam prawa udzielać wywiadów bez zgody Life Magazine. Magazyn ma wyłączne prawa do moich wspomnień. Mam z nimi umowę obowiązującą mnie do końca życia, oni płacą za mój apartament, moją sekretarkę i ponoszą wszystkie koszty mojego utrzymania.

– Przykro mi, że nie mogę zrobić zdjęcia opisać Pani i Pani ze mną. Nikt mi nie uwierzy, że spotkałem się z Panią...

– Uwierzy, uwierzy. Czy ten pański adres, który podał pan w swoim liście do mnie – na który jeszcze nie zdążyłam odpowiedzieć – jest aktualny?

– Tak jest aktualny (Był to adres moich przyjaciół w Kalifornii, do których właśnie się wybierałem).

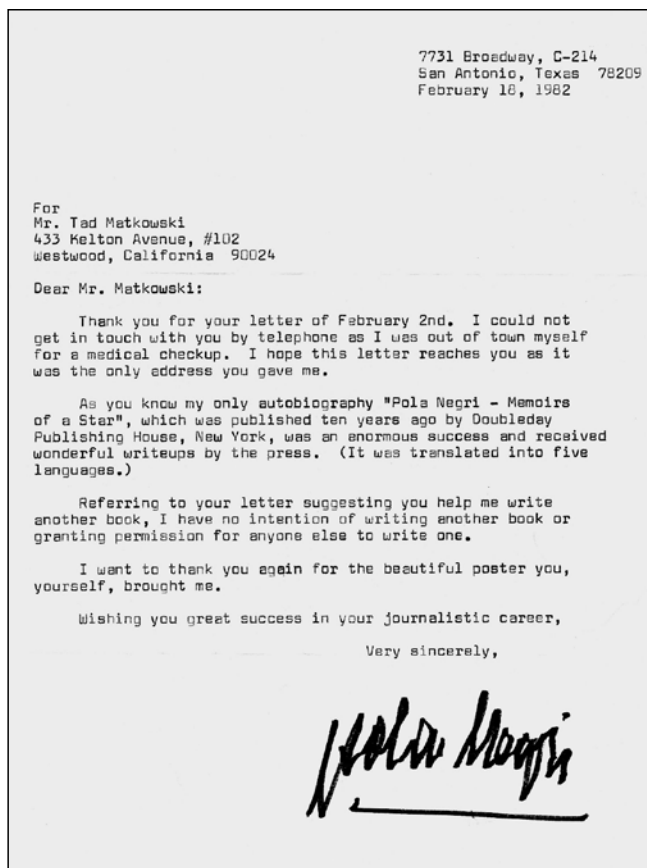
– Czy mogę o coś Panią zapytać prywatnie oczywiście nie do publikacji?

Jeden z niemieckich producentów filmowych, z którym współpracowała Pani, twierdził, że codziennie do śniadania wypijała Pani szklanekę whisky. Czy to prawda?

– A ma pan coś przeciwko whisky? – zapytała.

– Nie, też bardzo lubię whisky – odpowiedziałem.

Pola Negri podeszła do kredensika obok, wyjęła butelkę i nałala whisky do dwóch szklanek. Tak więc wypiliśmy z Polą Negri szklanekę whisky wznosząc toast za jej 100 lat. Niestety nie dożyła 100 lat. Zmarła w wieku 90 lat 5 lat później 1 sierpnia 1987 roku. ■



Z ognia smakuje lepiej



MAREK GRĄDZKI

W młodych latach w arka kulinarną sztukę wprowadzała mnie babcia Adelajda, w skrócie babcia Adeltia. Przed wojną planowała pójście do klasztoru, gdzie miała szefować tamtejszej kuchni. Niestety marzenia zniszczyła wojna a w zamian dostała na wychowanie takiego ananasa jak ja! Mieszkaliśmy wtedy w Poznaniu na ulicy Poznańskiej, jakżeby inaczej. Mieszkanie było amfiladowe zakończone służbówką, którą ja zajmowałem. Żeby się wy dostać musiałem przejść przez kuchnię. Nie było lekko. Trzeba napalić w angielsce by babcia miała na czym gotować, następnie w piecu centralnego etażowego by rodzina w pokojach miała ciepło. To nie takie łatwe było – najpierw podpałka, potem węgiel, gdy ten ruszył zasypywałem koksem i ten trzymał temperaturę przez cały dzionek. Po obowiązkach można było ruszać do szkoły. Wtedy wydawało się, że to katorga, teraz w oku kręci się iza na samo wspomnienie.

Dzięki tamtym doświadczeniom nie-straszne mi jakiegokolwiek eksperymentu z ogniem. Od małego doświadczałem, że gotowanie na buzującym ciepłym płynącym z drewna to zupełnie inna klasa niż prąd czy gaz. Rosołek pyrtolący się godzinami na fajercie ma niepowtarzalny smak, nie porównywalny z dzisiejszymi ersatzami. Dlatego też ideą Linia w Ogniu bez problemu zaraziłem moje Ślubne Szczęście, dzisiaj mistrzynię grillowanych warzyw z płyty. Naszym



wspólnym dzieckiem stał się biesadownik działający wyłącznie w weekendy, do którego zapraszamy gości by siedli z nami przy żywym ogniu, zrelaksowali się, odpoczęli od ogarniającego nas chaosu i przypomnieli sobie babcine smaki. Nazwa prosta Linie, bo w miejscowości o tej nazwie mieszkamy, w ogniu bo na nim gotujemy. Ot, taki zwrot do przeszłości, tego co jeszcze do niedawna wydawało się, że bezpowrotnie minęło.

Teraz do zespołu dołączyła latorośl – córka Dagny – zarażona kulinarną pasją. Biega po sali i swoją energią zaraża gości. Jej też dziełem jest indyk, moim zdaniem nieszczęśliwie nazwany po amerykańsku choć bliższą byłaby nazwa po Dagusiowemu. Wzięła go i najpierw na dwie doby unurzała w solance. Następnie podważywszy skórę pokładła pokrojone w plastry masło, do wnętrza ptaka ładowała skrojoną Szarą Renetę, czyli kwaśne jabłko, suszone śliwki, rodzynki, żurawinę. Gdy skończyła zabiegi zawięła go w worek pieczeniowy i tak przy-

gotowanego włożyła na brytfance do pieca chlebowego. Trzeba Ci bowiem szanowny Czytelniku wiedzieć, że w naszym biesadowniku mamy dwa piece chlebowe – jeden wojskowy, przenośny z 1885 roku i klasyczną Babę czyli murowaniec. Poza tym dwie angielski i olbrzymi piec grillowy równy temu co stoi w krzyżackim Malborku. Tym razem wykorzystana została baba. Napalona i rozgrzana wchłonęła indyka na całą noc. Następnie rano w dolnym palenisku zaczął pełgać ogienek i tak był podtrzymywany do wczesnych godzin popołudniowych by doczekać swojego wielkiego entree'. Był soczysty, nie przesuszony z chrupiącą skórką. Podany z ziemniaczanym puree' stanowił piękną ozdobę naszego stołu. Mam nadzieję, że pobudziłem Szanowny Czytelniku Twoje ślinianki. Jeżeli tak to wsiadaj na koń i bieżaj do nas. Wystarczy, że u wujka gugla wrzucisz hasło Linie w Ogniu a głupek sam Cię poprowadzi.

TWÓJ ZIEMIANIN W KUCHNI

Herman Pieter de Boer
z holenderskiego tłumaczył Juliusz Burgin

Damska orkiestra

– Wygląda na to, że się panu u nas podoba – powiedziała szatniarka nocnego lokalu. – Widzę pana co wieczór.

– Tak – przytaknął architekt Torben. Wsunął numerki do kieszeni kamizelki i wszedł na salę. Stołek barowy przy słupie był na szczęście wolny.

– To co zawsze? – spytał barman.

Architekt skinął głową i barman przyrządził mu manhattana. Z tego miejsca miał dobry widok na podium. Damska Orkiestra Pauli Birell występowała tu od tygodnia i goście ją polubili. Szefowa kapeli grała na perkusji. Z wyglądu nadawała się raczej do dźwigania snopków niż do muzykowania w lamowanej złotem sukni, niemniej jednak, wspólnie z tubistką, dbała o dobry rytm. Tubistka dęła i znajdowała jeszcze czas na rzucanie melancholijnych spojrzeń.

Była jeszcze niewyraźnie uśmiechnięta akordeonistka i saksofonistka, która podczas gry wysuwała do przodu to jedną nogę to drugą, robiąc przy tym komiczne miny. No i wreszcie kobieta, dla której Torben tu przychodził: skrzypaczka.

Architekt upił łyk i wpatrywał się w nią jak w różowym świetle reflektora wykonywała solo. Delikatnie uszmiokowaną twarz solistki otaczały falujące włosy. Ramię poruszające smyczkiem było jasnokremowe, podobnie jak przepych jej dekoltu. Torben nie wiedział jak się nazywała. Nic o niej nie wiedział. Jedynie to, że grała tu, w 'Oazie', i że był w niej zakochany. Postanowił coś przedsięwziąć...

– Intermezzo – ogłosiła Paula Birell po pół godzinie gry. Podniosła się zza bębnow. Parkiet powoli opustoszał. Panie z orkiestry podkładały troskliwie instrumenty i znikły za kulisami.

Torben odczekał chwilę, poczym obszedł bar i przeszedł wzdłuż skraju parkietu. Kiedy kelner spojrzął w inną

stronę, szybko przebiegł scenkę. Z tyłu mieścił się pokój dla artystów. Słychać było kobiece głosy. Torben zapukał i drzwi otworzyły się. Stał oko w oko z Paulą Birell. Popijała whisky. Ponad jej ramieniem Torben dostrzegł skrzypaczkę. Zdjęła pantofle i siedziała z nogami na toalecie, paląc papierosa.

– Czego pan sobie życzy? – spytała ostro szefowa kapeli? Upiła łyk whisky. Spoglądała nieufnie.

– Czy mógłbym chwilę porozmawiać ze skrzypaczką?

– Po co? – Szefowa blokowała wejście. Zauważył, że skrzypaczka na niego patrzy.

– Chciałbym jej powiedzieć jak bardzo podobała mi się jej gra.

– Przekażę – powiedziała Birell i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Personel 'Oazy' zachowywał się tak, jakby miał polecenie nie udzielania żadnych informacji o orkiestrze. Torben musiał więc zdać się na własną pomysłowość. Takie niepowodzenie jak w drzwiach pokoju artystów – zdecydował – nie mogło się powtórzyć. Następnego wieczora, podczas solo skrzypaczki stał tuż przy podium. Kiedy dziękowała za oklaski, wręczył jej orchideę wraz z wizytówką.

– Ach – powiedziała – dziękuję. – Spojrzała nań uważnie ale trwało to tylko chwilę. Paula Birell wyciągnęła rękę i pociągnęła solistkę do tyłu, rzucając mu szorstkie spojrzenie. Jednocześnie zaczęła kolejny numer programu. Skrzypaczka zatknęła pospiesznie orchideę za pulpit i przyłożyła instrument do podbródka.

Nazajutrz Torben siedział w biurze przy stole kreślarskim i wlepił nic nie widzące oczy w projekt sklepu.

Ta Birell nie lubiła wielbicieli członkini swojej kapeli, to pewne. A może to sprawa między skrzypaczką a nią? W tych kręgach nigdy nic nie wiadomo... Ale Torben był zakochany. Musiał ją zdobyć i zdobędzie! Układał w myślach kolejny plan...

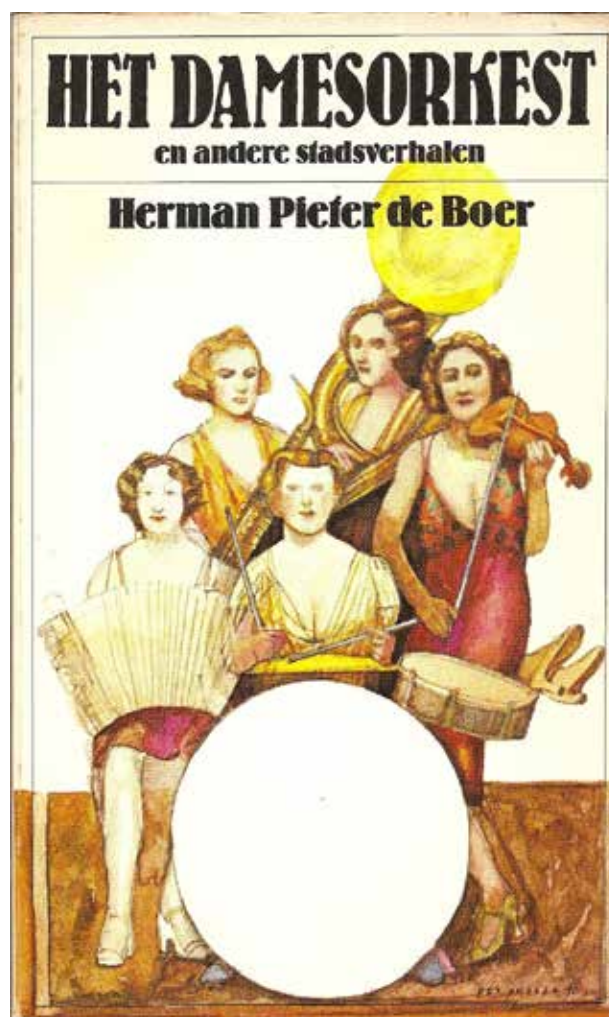
Po zamknięciu lokalu, o trzeciej nad ranem, Torben stanął przy wejściu dla artystów. Dziesięć po trzeciej podjechała wielka czarna limuzyna marki Minerva i zatrzymała się przy chodniku na wprost wejścia. Zza kierownicy wysiadła kobieta w szarej garsonce i takież czapce. Włożyła do ust gumę do żucia i oparłszy się o drzwi samochodu, czekała.

– Dobry wieczór – zagadnął Torben – przyjechała pani po orkiestrę?

– Tak – odpowiedziała – ale jeśli czeka pan na którąś z dziewcząt, to niech pan to sobie wybije z głowy.

– Dlaczego?

– Dłatego – odparła i otworzyła drzwi samochodu. Zgrzytnął zamek przy wejściu dla artystów. Pierwsza wyszła Paula Birell i stanęła przy drzwiach. Dziewczęta z orkiestry przedziutko miały ją i zniknęły we wnętrzu limuzyny. Zanim Torben zdołał coś powiedzieć



siedziały wszystkie w środku. Birell usiadła obok pani kierowcy a Torbenowi rzuciła tylko niechętnie spojrzenie. Samochód odjechał.

Następnej nocy Torben czekał w swoim autku. Dziesięć po trzeciej podjechała limuzyna. Jak tylko Birell zatrzasnęła drzwi Minervy, zapuścił motor. Kiedy limuzyna ruszyła, pojechał za nią. Żeby tylko udało się zobaczyć do którego hotelu...

Ku zdumieniu Torbena limuzyna przejechała przez całe miasto a na szosie wylotowej rozwinęła taką prędkość, że swym małym Fiatem Topolino nie miał co marzyć, by dotrzymać tempa.

Następnego dnia pożyczył od przyjaciela motocykl, podrasowaną Javę. Ustawił się w nocy na wylotówce, tam, gdzie poprzednim razem zgubił limuzynę. A kiedy rozpoznał mknącą Minervę, podążył za nią. Około sześć kilometrów za miastem samochód z orkiestrą skrzył w prawo, w aleję wzdłuż szpalery drzew. Na końcu wznosiła się potężna brama.

Torben zgasił światło, wyłączył silnik i wpełznął Javę w krzaki. Widział jak Birell wysiadła i zadzwoniła do bramy. Otworło się wprawdzie małe okienko a wkrótce potem cała brama. Birell wsiadła z powrotem i limuzyna wjechała do środka, po czym brama zamknęła się. Z daleka usłyszał zgrzytanie stalowych zasuw.

W okolicy nie było nikogo. Torben podszedł do bramy. W świetle latarni przeczytał na miedzianej tablicy: Państwowe Więzienie o Szczególnym Reżymie dla Kobiet i Dziewcząt.

Zapytał: – co pani widzi w mojej ręce?

– Widzę tylko, że dożyje pan późnej starości – powiedziała miękko, pochylona nad dłonią. – Nic więcej. Jeszcze nigdy nie widziałam takich linii. – Uniosła powoli głowę i czas jakiś patrzyła nań jasnozielonymi oczami.

– Znaczą, że nie umie pani czytać z ręki.

Potrząsnęła głową. Długie włosy prześliznęły mu się po ramieniu.

– Ale po tym, jak dotknęłam pana dłoni, muszę wiedzieć – powiedziała.

– Co?

– Co się panu dalej w życiu przydarzy – uśmiechnęła się przepraszająco – takie jest prawo koła.

– Tego, niestety, nie mogę pani powiedzieć.

– Niech pan dalej żyje sobie swoje życie – powiedziała. – Ja będę dawać baczenie. Będę musiała zostać.

Podniosła się i zsunęła płaszcz na podłogę. Miała na sobie białą suknię z cienkiego lnu a na szyi łańcuszek ze srebrnym kółeczkiem. Przysiadła spokojnie na futrzaku przed kominkiem.

Na dworze uspokoiło się, wiatr przycichł.

Spoglądał na nią i miał uczucie, że kobieta jest tu już od lat. ■

W SYLWESTROWYM NASTROJU

NOWOROCZNE ŻYCZENIA

Nowy Roku
Bądź tak dobry
I pozwól
Kuć każdemu los swój
Bez mozołu
Oczom daj radość
W niwecz obróć cierpienie
Naszym krzyżom daj skrzydła
Nadzieja
Niech wreszcie nie będzie
Tylko marzeniem
A miłość
Niech będzie prawdziwa

Danuta Ławniczak, grudzień 2021 r.

SYLWESTER

Policz wszystkie płomyki w oczach
policz wszystkie szampana bąbelki
polanego o dwunastej dla toastów
w sali wielkiej
lub w samotnej
swojej lampce tylko jednej
Policz też za oknem
wszystkie barwne iskry
co polecą do chmur
by dostojnie
i niewiarygodnie strojnie
świecąc opadać będą dół
Policz
policz jak najwięcej kochanie
bo ile policzysz tyle dostaniesz
zdrowia szczęścia pomyślności
oznak szczerzej uprzejmości
chwil radośnych kolorowych
w rozpoczętym Roku Nowym

Nielukrowana

muz. Jarosław Plocica, Katarzyna Klich-Plocica
śl. Katarzyna Klich-Plocica

Miło, że goście, choinka, prezenty
Miło, że kolędy i potraw dwanaście
Ale mniej już miło jak pomyśleć sobie
Ze porządki muszę zrobić na kwadracie

Ze się przy garach urobę po pachy
No bo grzybowa, barszcz i pierogi
Nie pomogą później żadne ochy i achy
Na bolące nogi i odcinek lędźwiowy

ref.
To nieświęteczna piosenka na Święta
Nielukrowana, bez siana i bałwana,
To nieświęteczna piosenka na Święta
Proszę w tym roku o święty spokój

Od listopada wszędzie Last Christmas
Jingle Bells Jingle Bells już wylaź bokiem
Och, jak bym chciała przespać te Święta
I się obudzić tuż przed Nowym Rokiem

No, ale o tym mogę tylko pomarzyć
Bo turniej tańca mam z mopem od rana
Może wieczorem znajdę czas na kąpiel
Na szczęście nie mam w wannie karpia

ref.
To nieświęteczna piosenka na Święta
Nielukrowana, bez siana i bałwana,
To nieświęteczna piosenka na Święta
Proszę w tym roku o święty spokój

bridge:
Nie spodziewam się trzech króli
Więc nie muszą lśnić komnaty
Świat się przecież nie zawali
Jeśli nie posprzątam chaty

Nie takiego się nie stanie
Jak pierogów nie ulepię
No a sernik i makowiec
W osiedlowym kupię sklepie

ref.
To nieświęteczna piosenka na Święta
Nielukrowana, bez siana i bałwana,
To nieświęteczna piosenka na Święta
Proszę w tym roku o święty spokój



Marki świąteczne



GRAŻYNA GRAMZA

Święta. Zastanawiamy się, jak je spędzić i z kim? Czy uda nam się pojechać do rodziny? Czy ktoś nas odwiedzi? A może zafundować sobie jakiś bal czy koncert noworoczny? Niezależnie od wszystkiego trzeba się jakoś ubrać. Przez ponad rok część z nas snuła się po domu w dresach lub przetartych džinsach. Sama pierwsze zakupy ubraniowe zrobiłam na lato, bo wcześniej trzy koszulki i dwie pary spodni wystarczyły żeby pokazać się komuś w okienku komputera. A butów wcale bym nie potrzebowała gdyby nie rozsądek i konieczność wyjścia na spacer z psem. Kiedy tak dumalam nad zawartością własnej szafy wpadło mi do głowy pytanie – czy ja znam jakieś holenderskie marki ubrań? I właściwie nie miałam żadnych skojarzeń oprócz „Miss Etam”, „C&A” i „WE”. Ale coś bardziej ekskluzywnego? Nic! Przeglądając Internet doszłam do wniosku, że Holandię trudno powiązać z jakimś znanym projektantem czy nową „małą czarną”. Niderlandy chyba nigdy nie były ważnym graczem jeśli chodzi o odzież i obuwie. Jednak Michał Kędziora, „taki profesor Miodek mody męskiej”, napisał, że mimo to znajdziemy kilka marek, na które warto zwrócić uwagę.

W jego zestawieniu na pierwszym miejscu znajduje się firma „Suitsupply”, którą założył w 2000 roku student prawa, Foke de Jong. Jego pomysł na sprzedaż garniturów był prosty – każdy miał chcieć je nosić i co więcej, kupować online. To było 20 lat temu. Niewielu wróżyło powodzenie młodemu biznesmenowi. Dziś firma ma ponad sto sklepów na całym świecie, a „klienci kochają „Suitsupply” za atrakcyjne wzornictwo, dobry stosunek ceny do jakości, dopracowane detale...” Garnitur można też uszyć na zamówienie. Są również koszule, a niektóre modele szyje się w Polsce. Pierwsze reklamy „Suitsupply” były seksistowskie, a nawet szowinistyczne, co słusznie wielu oburzało. Cel jednak osiągnięto – „Suitsupply” stał się znany. Od 2017 roku uruchomiono bliźniaczą markę dla pań – „Suistudio”.

W Polsce najbardziej popularną marką holenderską jest „Scotch & Soda”. Nazwa może mylić, ale biuro projektowe mieści się w Amsterdamie, w starym kościele. Firma jest na rynku od lat osiemdziesiątych, ale dopiero w 2001 roku stała się rozpoznawalna. „Scotch & Soda to przede wszystkim dżins, sprane tkaniny, wielokolorowe swetry, wintydżowe nadruki i detale nawiązujące do starodawnego krawiectwa (stąd stara maszyna do szycia w logotypie marki)”. Na świecie działa aż 8 tys. sklepów „Scotch & Soda”, więc na pewno można na któryś trafić.

Inna marka z Holandii, której nazwa na to nie wskazuje, bo ma jeszcze dopisek „New York”, to „McGregor”. Powstała w latach dwudziestych w Ameryce, a kurtki „McGregora” nosił sam James Dean. W 1993 roku prawa do marki przejęła holenderska spółka. Niedawno „McGregor” przechodził kryzys i ogłosił nawet bankructwo ale w 2019 roku firmę przejęli holenderski fundusz inwestycyjny oraz wieloletni dyrektorzy z europejskiego oddziału marki „Tommy Hilfiger”. Marka została uratowana i ma się dobrze!

Kiedy uporaliśmy się już z kreacją, to zostaje nam kwestia prezentu. Co kupić? Mikser, skarpetki? A może książki? No, ale czy ona/on czyta? Co czyta? Czy jeszcze czyta? Bo może używa już tylko czytnika? Bilet do kina? Bon podarunkowy? Prezent to zawsze dylemat, a obecnie jeszcze większy niż kiedyś. Kupimy czekoladki. Nawet luksusowe... Bliska osoba przestała jeść słodycze, bo jest na diecie lub postanowiła zostać weganą. W pudełku mamy pralinki z krowim mlekiem.. No i faux pas! Trudno wszystko przewidzieć. A kosmetyki? Też mogą być towarzyską miną, bo były testowane na zwierzętach, nie znamy gustu osoby obdarowywanej, albo ktoś jest uczulony. Mimo to najczęściej się sprawdzają. Przynajmniej w mojej rodzinie i wśród znajomych. Ceny kosmetyków w Holandii są dość wysokie i często wolimy kupić coś w Polsce. Poza tym polska „Ziaja” czy inne marki nie odbiegają poziomem od tych światowych. Jednak



ceny „lepszych” kosmetyków są przeliczane inaczej. W Holandii kosztują tyle samo co w kraju, ale tutaj są na nie częściej promocje. Jak zawieziemy mamie czy cioci „Chanel 5”, to postawi je przy lustrze nawet, jak nie będzie jej odpowiadał zapach. Zadziała magia reklamy i przekonanie, że „jestem tego warta”.

Kupując dla kogoś jakiś drobiazg staram się żeby „miał historię” lub był holenderski. Próbuję robić tak też z kosmetykami.

Na pewno niderlandzka jest firma „Dr. Van der Hoog”, której kremy i inne rzeczy do pielęgnacji dostaniemy w każdej drogerii. Firma powstała w 1935 roku. Założył ją dermatolog Peter H. van der Hoog, który w 1922 roku w podróży dookoła świata spotykał różnych ludzi, którzy stosowali nieznaną mu specyfikę. Lekarz starał się jak najwięcej zapamiętać i poznać naturalne składniki preparatów używanych w innych części świata. W swojej praktyce leczył wiele osób z nadwrażliwością skóry. Każdemu starał się pomóc. Zawsze zalecał czteroetapową pielęgnację ciała: oczyszczanie, odświeżanie, ochronę i naprawę. Jego motto brzmiało „Piękno to widoczne zdrowie!” Na stronie firmy jest informacja, że kosmetyki tej marki opracowane są na bazie naturalnej.

Inną marką z Holandii jest „Sara Rosalie”. To seria kosmetyków firmy, której właścicielka nie ma jeszcze 30 lat. Dorastała na wyspie Texel w gospodarstwie, w którym hodowano owce. Tam dostrzegła dobry wpływ zwierzęcego tłuszczu na naszą skórę. Lanolina, która stała się bazą kremów „Sara Rosalie”, to wosk zwierzęcy otrzymywany podczas czyszczenia wełny owczej. Kosmetyki tej marki są bardzo delikatne i przyjemne w użyciu.

W tej chwili cudzoziemcom najbardziej z Holandią kojarzy się „Rituals”, ponieważ ma sklepy w prawie trzydziestu krajach. W 2000 roku „Rituals” założył Raymond Cloosterman. Z niewielkim kapitałem i pomocą przyjaciół zaczął w piwnicy przy Herengracht w holenderskiej stolicy, ale już pierwszy sklep „Rituals” otwarto na prestiżowej ulicy Amsterdamu, przy Kalvestraat. W 2018 roku firma zarobiła 72 mln euro, a obracała 696 mln. Po piwnicznej izbie zostało tylko wspomnienie! Osobiście lubię i kupuję w „Rituals”, a różnymi jego produktami obdarowuję bliskich. W tym roku widziałam kalendarz adwentowy w kształcie wioski w zimowym pejzażu. W każdym budynku czy choince ukrywał się jakiś krem, świeczka czy pachnidło. Cena, nawet po przecenie, nie jest niska (89,90 euro), ale złote pudełko cieszy oczy.

Niezależnie od naszych wyborów mody czy prezentowych, życzę Państwu zdrowych i spokojnych Świąt w gronie najbliższych przy pięknie zastawionym stole i szczęśliwego Nowego Roku!



BIESIADOWNIK LINIE W OGNIU

W naszej kuchni wróciliśmy do korzeni. Reprezentujemy nurt kuchni zagłębiającej się w odległe czasy czyli historycznej. Gotujemy na żywym ogniu, kuchenkach opalanych drewnem, pieczemy w piecach chlebowych. Wyłącznie ekologicznie, sezonowo i bieszczadnie. Nasz bieszczadzki czynny jest w sobotę i niedzielę.

IMPREZY OKOLICZNOŚCIOWE

CATERINGI NA TERENIE POLSKI I UE

LINIEWOGNIU.PL 502 267 193

LINIE 3 64-310 LWÓWEK REZERWACJA@LINIEWOGNIU.PL

Z NAMI POCZUJESZ PRAWDZIWIY SMAK POTRAW



KOCHANI !!!

Zapraszamy do WOŚP-owej współpracy
**polskie sklepy, salony fryzjerskie,
salony kosmetyczne, polskie firmy**
i wszystkie inne miejsca,
gdzie chcielibyście postawić naszą
Puszkę WOŚP (Sztabową Puskę Stacjonarną).

Podobnie jak w poprzednich latach
jesteśmy również zainteresowani
**bonami na oferowane przez Was
usługi i produkty,**
jeśli chcecie dołączyć do naszej zbiórki WOŚP
zapraszamy serdecznie do kontaktu z nami !

Sie Ma !!!

Sztab WOŚP Amsterdam
wosp.amsterdam@gmail.com

